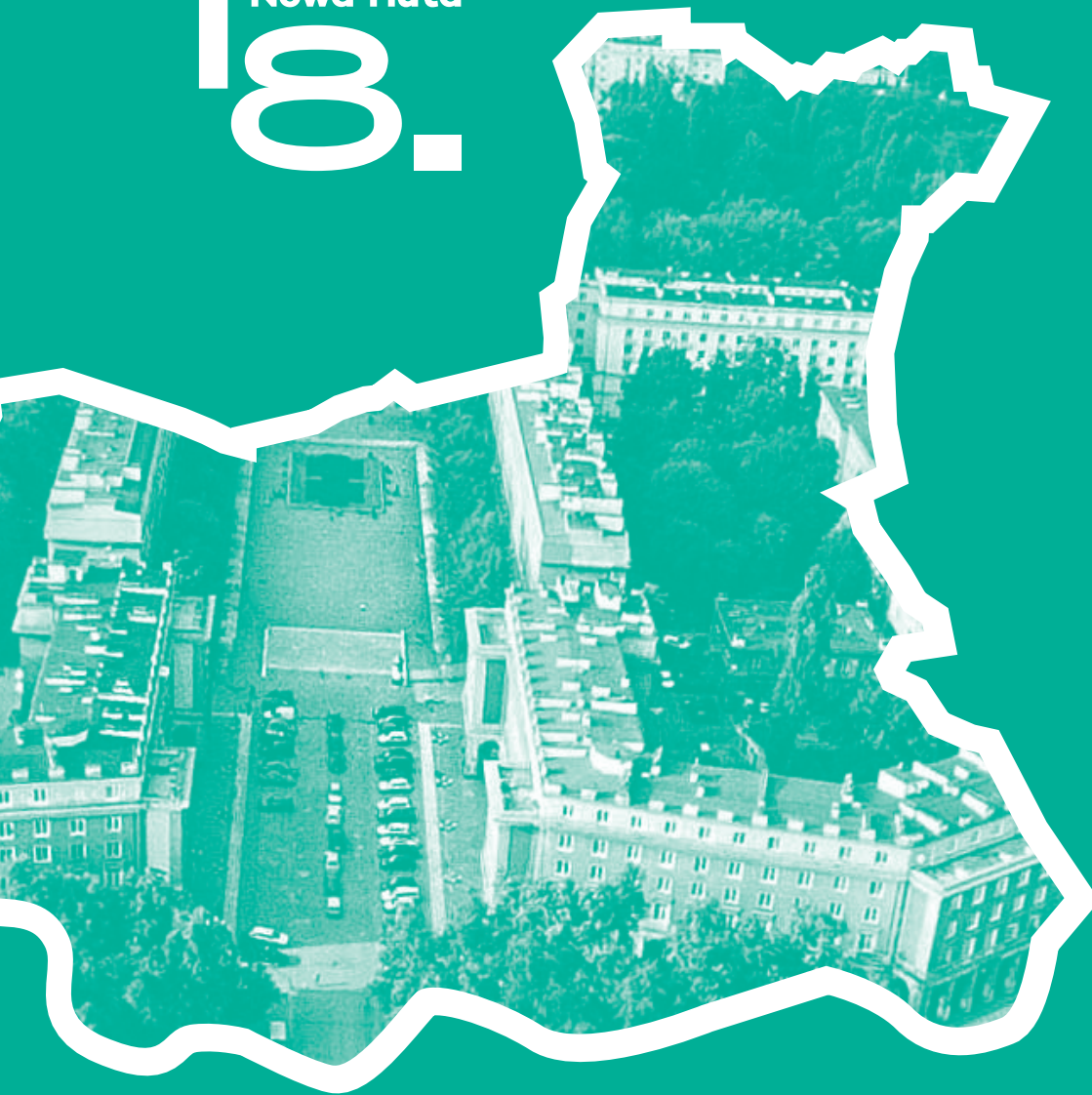


18. **znaczy Nowa Huta**



Reportaże o najmłodszej
dzielnicy Krakowa

„18. znaczy Nowa Huta” to projekt, którego celem było zbadanie i opisanie życia mieszkańców XVIII dzielnicy Krakowa. Od pierwszych budowniczych po najnowszych mieszkańców, dla których Huta jest świadomym wyborem miejsca do życia; od Placu Centralnego po bar Meksyk – wszystkie możliwe oblicza tej dzielnicy były punktem wyjścia do rozważań nad jej historią i współczesnym wizerunkiem.

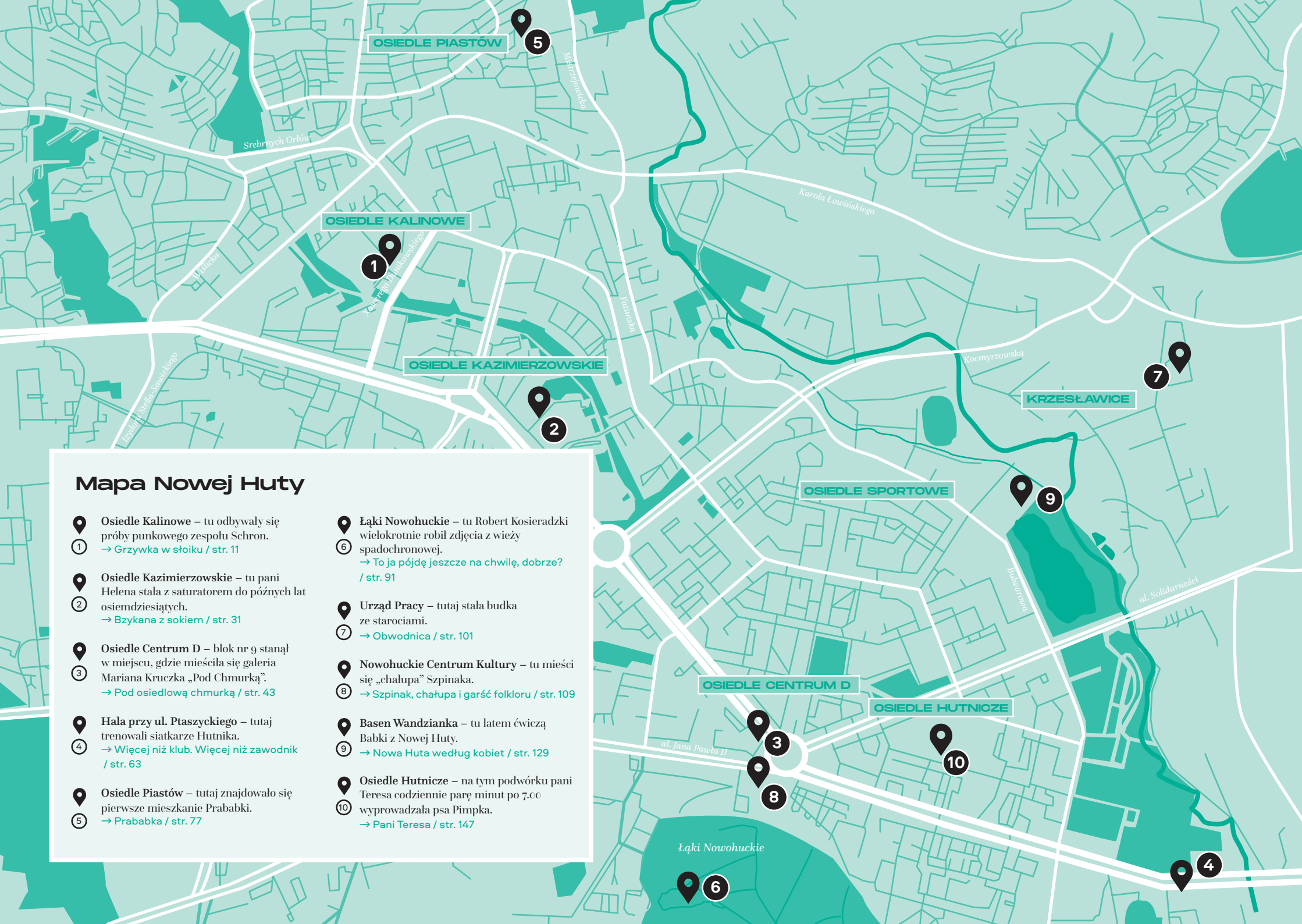
Jedynym warunkiem co do tematyki reportażu miał być jego wyraźny związek z Nową Hutą. Chcieliśmy pokazać ciekawe, nieznanne lub warte przypomnienia osoby, zjawiska, miejsca czy problemy, ale także codzienne, zwykłe życie mieszkańców i mieszkańek.

Spośród wielu nadesłanych zgłoszeń wyboru najlepszych tekstów dokonało jury w składzie: Renata Radłowska (dziennikarka „Gazety Wyborczej”, autorka książki reporterskiej „Nowohucka telenowela”), Marcin Żyła (dziennikarz, reporter zajmujący się m.in. problemem migracji, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”) oraz Daniel Lis (redaktor książek non-fiction związany m.in. z wydawnictwem Znak).

Projekt został zorganizowany przez Krakowskie Biuro Festiwalowe, operatora programu Kraków Miasto Literatury UNESCO. Konkurs na reportaże odbył się w ramach programu wsparcia debiutów literackich w Krakowie, który obejmuje m.in. coroczne kursy kreatywnego pisania i Nagrodę Conrada. Projekt „18. znaczy Nowa Huta” wpisywał się także w obchody 70-lecia Nowej Huty.

Mapa Nowej Huty

- 📍 **Osiedle Kalinowe** – tu odbywały się próby punkowego zespołu Schron.
① → *Grzywka w słoiku / str. 11*
- 📍 **Osiedle Kazimierzowskie** – tu pani Helena stała z saturatorem do późnych lat osiemdziesiątych.
② → *Bzykana z sokiem / str. 31*
- 📍 **Osiedle Centrum D** – blok nr 9 stanął w miejscu, gdzie mieściła się galeria Mariana Kruczka „Pod Chmurką”.
③ → *Pod osiedlową chmurką / str. 43*
- 📍 **Hala przy ul. Ptaszyckiego** – tutaj trenowali siatkarze Hutnika.
④ → *Więcej niż klub. Więcej niż zawodnik / str. 63*
- 📍 **Osiedle Piastów** – tutaj znajdowało się pierwsze mieszkanie Prababki.
⑤ → *Prababka / str. 77*
- 📍 **Łąki Nowohuckie** – tu Robert Kosieradzki wielokrotnie robił zdjęcia z wieży spadochronowej.
⑥ → *To ja pójdę jeszcze na chwilę, dobrze? / str. 91*
- 📍 **Urząd Pracy** – tutaj stała budka ze starociami.
⑦ → *Obwodnica / str. 101*
- 📍 **Nowohuckie Centrum Kultury** – tu mieści się „chałupa” Szpinaka.
⑧ → *Szpinak, chałupa i garść folkloru / str. 109*
- 📍 **Basen Wandzianka** – tu latem ćwiczą Babki z Nowej Huty.
⑨ → *Nowa Huta według kobiet / str. 129*
- 📍 **Osiedle Hutnicze** – na tym podwórku pani Teresa codziennie parę minut po 7.00 wyprowadza psa Pimpka.
⑩ → *Pani Teresa / str. 147*



Szanowni Państwo,

przez dekady Nowa Huta była nazywana nie tylko młodszą, ale i uboższą „siostrą starego Krakowa”. Dzisiaj jednak wszystko się zmieniło. To tutaj chcą mieszkać młodzi krakowianie, to tu buzują inicjatywy kulturalne i społeczne.

W swoje siedemdziesięciolecie Nowa Huta nie tylko świętuje, ale i śmiało patrzy w przyszłość; jedyna w swoim rodzaju, wielobarwna, bez kompleksów, kochana przez swoich mieszkańców.

I nie należy się dziwić, że wciąż przyciąga literatów, stanowiąc dla nich niewyczerpane źródło coraz to nowszych opowieści.

Zapraszam do lektury!

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

Droży Państwo,

najpierw była decyzja: budujemy!

Później wybrano miejsce: wioskę Mogiła koło Krakowa.

W 1949 roku rozpoczęto budowę miasta, w którym praca i dom byłyby dla każdego, architektura miała nawiązywać do krakowskiego renesansu, a układ urbanistyczny – do miasta idealnego, „miasta ogrodu”.

70 lat później my również podjęliśmy ważną decyzję: piszemy i publikujemy!

„18. znaczy Nowa Huta” to projekt literacki, w którym całą uwagę poświęciliśmy najmłodszej z krakowskich dzielnic. Konkurs na tekst reporterski, którego jest bohaterką, stał się dla nas wszystkich pretekstem do rozważań o tym, jak żyje się w „osiemnastce”, gdzie krzyżują się drogi mieszkających tu ludzi, co stanowi o charakterze i tworzy atmosferę tego miejsca.

Nowa Huta to nie tylko aleja Róż czy kombinat, ale też stare drzewka mirabelkowe wciąż rosnące na najstarszych osiedlach czy rzeźby ukryte w alejkach między blokami, szachisici w parku Ratuszowym – ale i młodzi aktywiści, dla których zamieszkanie w Nowej Hucie było świadomym życiowym wyborem.

Z kilkudziesięciu nadesłanych tekstów jury wybrało dziesięć, które będą mogli Państwo przeczytać w tym zbiorze. To, co nas szczególnie cieszy, to fakt, że do konkursu stanęło tylu nowohucian pragnących podzielić się swoimi obserwacjami. Utwierdza nas to w przekonaniu, że Nowa Huta stanowi wyjątkowe miejsce na mapie Krakowa.

Na siedemdziesiąte urodziny życzymy jej, by zawsze już była tak niejednorodna, nieoczywista i urokliwa. By zawsze miała wspaniałych mieszkańców, którzy będą z niej dumni – tak jak ma ich dzisiaj.

Oddajemy w Państwa ręce pierwszą część krakowskiej antologii miejskiego reportażu, która rozpoczyna cykl historii dotyczących miasta i jego mieszkańców. „18. znaczy Nowa Huta”, a Nowa Huta znaczy: wspólnota.

Izabela Helbin
Dyrektor Krakowskiego Biura Festiwalowego

Prawdy o Nowej Hucie

Dla jednych nigdy nie będzie częścią Krakowa, dla innych była nią zawsze. Okryta złą sławą – albo uważana za najlepszą dzielnicę do życia. Szara i smutna – lub fascynująca i tętniąca energią. Odrębne „miasto w mieście”. Nowa Huta nie jest najstarszą dzielnicą Krakowa, ale jest jedną z najciekawszych. Jest też wdzięcznym tematem reportażu. Przekonał się o tym choćby młody Ryszard Kapuściński, pisząc w 1955 roku przełomowy tekst. To też jest prawda o Nowej Hucie. Jaką prawdę o osiemnastej dzielnicy Krakowa reportaż może powiedzieć w roku 2019?

W siedemdziesiątą rocznicę ułożenia pierwszej cegły pod budowę nowego miasta Krakowskie Biuro Festiwalowe, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO, proponuje nowe, reporterskie spojrzenie na Nową Hutę. „18. znaczy Nowa Huta” to projekt, którego celem było zbadanie i opisanie życia mieszkańców tej dzielnicy Krakowa. Zbiór, który oddajemy w Państwa ręce, to dziesięć prac – ciekawych, zaskakujących, różnorodnych prawd o Nowej Hucie.

„Grzywka w stoiku” Andrzeja Robaka to reporterska opowieść o konfliktach nowohuckich subkultur w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Autor nie staje w pierwszym rzędzie, pozwala mówić innym i prowadzi swoich bohaterów, dzięki czemu wątek społeczny opakowuje w ludzkie, prywatne, wręcz intymne historie. To Nowa Huta jako poszukiwanie swojej drogi, niekiedy w sposób kanciasty, ale zawsze z uporem. „Bzykana z sokiem” Katarzyny Gałek to zajmująca historia peerelowskiego symbolu – saturatora – za którym chowa się człowiek. Pani Helena to kobieta-kronikarka, kobieta-stałość/obecność. Ona i saturator tworzyli duet, który przyglądał się Nowej Hucie przez dekady. Zapewne wie ona więcej o nowohucianach niż oni o sobie. Autorka pokazuje życie najlepsze z możliwych – towarzyszenie ludziom w pośpiechu, przyglądanie się im, czekanie na nich.

Autorzy dwóch reportaży spojrzeli na Nową Hutę oczami tutejszych artystów, udowadniając, że to temat i bohaterowie, którym nie poświęcano

dotąd należytej uwagi. Małgorzata Czerni-Czaja w tekście „Pod osiedlową chmurką” przypomina o tym, jak Marian Kruczek, miesiąc po odstąpieniu w 1973 roku w alei Róż pomnika Lenina, zaproponował mieszkańcom swojego osiedla kontakt z zupełnie innym rodzajem sztuki. To obalająca stereotypy opowieść o budowaniu wspólnoty przez mieszkańców robotniczego osiedla w idealnym socjalistycznym mieście wokół awangardowego dzieła żyjącego wśród nich artysty. Z kolei bohaterem reportażu Łukasza Gazura „To ja pójdę jeszcze na chwilę, dobrze?” jest Robert Kosieradzki – fotograf o wyjątkowej wrażliwości i postrzeganiu świata, artysta, który „łapał miejskie marginesy, to, co innym nie mieściło się w kadrze”. Pisząc o tej ważnej dla Nowej Huty, choć zapomnianej postaci, autor tekstu również „łapie miejskie marginesy”.

Bohater reportażu Natalii Grygny „Szpinak, chałupa i garść folkloru” – Jerzy Kujawski – też w pewnym sensie jest artystą. To człowiek-instytucja. Sztuką uczynił swoją fascynację folklorem i przede wszystkim to, w jaki sposób od lat swoją pasją zaraża innych, szczególnie młodych nowohucian.

Na kolejny miejski margines – tym razem współczesnej Nowej Huty – spogląda Kinga Raab w reportażu „Obwodnica”. Zmiana, która dla jednych jest tylko wykresem na papierze, dla innych może być utratą teraźniejszości, a za chwilę – przyszłości. Autorka znalazła człowieka, który przykucnął ze swoim mikrobiznesem na obrzeżach Nowej Huty – tworzył tam skład rzeczy niechcianych, niemodnych, ukaranych za wiek. To dobrze wysłuchana historia końca polskiej transformacji, w bardzo lokalnej skali.

„Więcej niż klub, więcej niż zawodnik” Przemysław Langiera to reportaż przypominający mało znaną historię nowohuckiej drużyny siatkarskiej, z czasu gdy wchodziła ona w swój złoty okres. O Hutniku autor opowiada z perspektywy zawodnika, Marka Karbarza, złotego medalisty olimpijskiego, który w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zasilł szeregi drużyny. Pokazuje też, że dawne sukcesy sportowe mogą przekładać się na dzisiejsze, nawet jeśli już poza Nową Hutą.

Szczególne, kobiece, choć bardzo odmienne spojrzenia na osiemnastą dzielnicę Krakowa proponują Angelika Klik oraz Ewa Adamska-Cieśla. „Prababka” to osobista opowieść-wyznanie, intymna rozmowa z przodkinią, która przybyła do Nowej Huty, gdy ta dopiero się budowała. To forma wykraczająca poza reportaż, a jednak intryguje, pozostaje w pamięci i składa hołd wszystkim tym bohaterkom, na których reporterki i reporterzy zbyt często zdają się nie zwracać uwagi. „Nowa Huta według kobiet” to z kolei obraz dynamicznych zmian, które obecnie przechodzi dawniejsze idealne miasto socjalistyczne. To obraz dzielnicy, którą obywatelki biorą w swoje ręce: dzielnicy żywej, zaangażowanej, śmiało patrzącej w przyszłość. I w końcu: o tym, że również w przyszłość patrzeć trzeba ostrożnie, bo można przegapić to, co jeszcze tylko przez chwilę będzie należało do teraźniejszości, opowiada tekst Tomasza Mroza „Pani Teresa”. To reportaż-wspomnienie, empatyczna forma upamiętnienia sąsiadki i zarazem całego odchodzącego już pokolenia nowohucian.

To dziesięć prawd o Nowej Hucie.

Renata Radłowska

Daniel Lis

Marcin Żyła

Jury konkursu



Grzywka w słoiku

Andrzej Robak

Jesienny wieczór 1983 roku. Aleją Róż maszeruje grupa nastolatków. Ubrani w skórzane kurtki, spodnie w kolorze moro i ciężkie, wojskowe buty. Włosy nastroszone. Na wysokości pomnika Lenina mijają kilku rówieśników idących w przeciwną stronę. Ci wyglądają niczym z żurnala: koszule i dżinsy z Peweksu, modne wąskie krawaty, pulowery w ostry szpic, białe adidasy. Twarze przysłonięte opadającymi na oczy grzywkami.

Krzyżują się wrogie spojrzenia, ale pięści nie opuszczają kieszeni.

Pierwsi kierują się na przystanek autobusowy, żeby dojechać na koncert. Drudzy spacerem dotrą na dyskotekę.

Gitara za dwieście dolarów

– Punkiem zainteresowałem się w połowie ósmej klasy – opowiada Robert Biernat, rocznik 1967. – Zacząłem poznawać ludzi ze środowiska. Byli o kilka lat starsi ode mnie. Na początku znało się tylko ksywy i numery telefonów. Albo wiedziało się, kto jest skrzynką kontaktową i w ten sposób docierało do innych osób.

Szczęśliwie, rodzice Roberta mają w domu telefon. Ojciec jest zatrudniony w Budostalu-2. Jeździ na eksport – do pracy przy zagranicznych budowach, wznosić stalowe konstrukcje.

W tym samym czasie Piotr Bzowski, rówieśnik Roberta, dołącza do rockowego zespołu Awers, który szuka właśnie drugiego gitarzysty. Ostatecznie Piotrek siada za bębnami.

Próby odbywają się na osiedlu Złotej Jesieni. Przy zawodówce, która kształci przyszłą kadrę Huty im. Lenina, działa ognisko pracy pozaszkolnej. Trio kopiuje tam utwory Budki Suflera.

Kiedy zespół wreszcie znajduje drugiego gitarzystę, ten przekonuje chłopaków do ostrzejszego grania. – Gdy usłyszeliśmy „czerwoną” płytę Exploited, byliśmy w siódmym niebie. Podobała nam się też Brygada Kryzys – przyznaje Piotrek.

Z czasem przenoszą się na osiedle Kalinowe, do podstawówki nr 82. Zespół zmienia nazwę na Schron, a styl na punk-rockowy. Basista Schronu kupuje motocykl, modną „cezetkę”, i przyozdabia ją punkowymi hasłami i emblematami. Razem z Piotrkim jeżdżą na próby.

Na początku grają na gitarach i bębnach, którymi dysponuje poza-lekcyjne kółko muzyczne. Instrumenty są sfatygowane, bo korzystają z nich też inne zespoły. A nie każdy dba o sprzęt, który jest własnością szkoły.

Dlatego koledzy Piotrka składają pieniądze. Z czasem Schron ma na wyposażeniu bas marki Luna i gitary będące podróbkami Fendera i Gibsona. Za tę ostatnią rodzice drugiego gitarzysty muszą zapłacić dwieście dolarów.

Dopiero po trzech latach Piotrek może sobie pozwolić na kupno bębnów. Do tego czasu gra na pożyczonych.

Chłopaki zaopatrują się też we własne wzmacniacze i przetworniki brzmienia. W dzielnicy są ludzie, którzy wykonują taki sprzęt na zamówienie.

Bilet dla nieznajomej

W weekendy Fama na osiedlu Willowym pęka w szwach. Najlepsza dyskoteka w dzielnicy przyciąga masę ludzi. W tłumie przed klubem brylują popersi. To ci, którzy ubierają się elegancko i słuchają disco albo new-romantic. I oczywiście noszą grzywki. Takie same jak Grzegorz Ciechowski, lider Republiki, która jest wtedy na topie. Jednym z popersów jest kuzyn Piotrka z osiedla Kolorowego.

Schron tymczasem koncertuje w szkole, podbijając serca punków z dzielnicy. Są światła i dużo huku. Furorę robi zwłaszcza kawałek z refrenem „Do schronu! Do schronu!”. Publiczność śpiewa go razem z zespołem. Muzycy są zachwyceni.

Wśród pierwszych krakowskich punków prym wiedzie Jubiler. Jest cztery lata starszy od Piotrka i Roberta. Mieszka w Hucie, w jednym z wieżowców na osiedlu Piastów.

Piotrek: – Pamiętam, że na Piastów była duża grupa punków. Spotykali się w zrujnowanym forcie. Z tego co słyszałem, zdarzało się, że wączali tam klej.

Jak podają w monografii „No future! Historia krakowskiej FMW” Maciej Gawlikowski i Mirosław Lewandowski, w stanie wojennym Jubiler bił zomowców na ulicach. W areszcie poznał ludzi, którzy kilka lat później utworzyli krakowskie struktury Federacji Młodziży Walczącej, podziemnej organizacji o nastawieniu antykomunistycznym. Został punkiem i z mieszkania rodziców przeprowadził się do piwnicy. Z czasem kontrolę nad jego życiem przejęły narkotyki.

Robert dzięki Jubilerowi poznaje Szyszkę, który kilkanaście lat później zostanie punkowym szewcem. Wierny idei do it yourself (zrób to sam) zacznie wyrabiać glany – ciężkie, wysokie, sznurowane buty, chętnie noszone przez kontestującą młodzież.



Kiedy nie ma prób, Piotrek umawia się z kolegami na posiadówki na ławce na osiedlu Wysokim, niedaleko III Liceum Ogólnokształcącego. Rozmawiają, czasem ktoś przyniesie wino domowej roboty. Nie każdego stać na piwo, które podają w pobliskiej piwiarni Oaza. Zresztą lepiej się tam nie pokazywać, bo może wpaść milicja albo ZOMO.

Robert: – Gdy mieliśmy wolną chwilę i trochę kasy, to się jeździło po Polsce. Na koncerty albo po prostu pozwiedzać. Poznawało się ludzi. To były trochę inne czasy.

Punki mogą na siebie liczyć. Kiedy któryś jest bez grosza w obcym mieście, może zagadnąć rówieśnika z czubem na głowie, wiedząc, że ten nie odmówi pomocy.

Robert też nie odmawia. Przed wejściem do warszawskiego klubu Remont podchodzi do niego nieznajoma dziewczyna i prosi o trochę pieniędzy. Robert funduje jej bilet na koncert.

Cztery rzędy ćwieków

Kiedy nastanie rok 1984, w Nowej Hucie nikt nie zauważy, by był bardziej orwellowski niż poprzednie. Atmosfera przypominająca tę opisaną przez brytyjskiego krytyka totalitaryzmów towarzyszy mieszkańcom już dobre dwa lata. A raz w miesiącu czuć ostry zapach gazu na ulicach.

Piotrek: – Któregoś dnia przychodzę do szkoły, a tu nagle radiowoz, milicja. Okazało się, że w środku i na zewnątrz ktoś wymalował ściany hasłami „Solidarność walczy”. Przesłuchiwali wtedy dosłownie każdego ucznia.

Ojciec Roberta działa w Solidarności. Pewnego razu w drodze do szkoły syn widzi, że w krzakach obok kawiarni Mozaika leżą nieprzytomni zomowcy. Z czasem sam zacznie brać udział w zadymach.

Robert i Piotrek chodzą do techników na osiedlu Szkolnym. Pierwszy uczy się na mechanika, drugi zgłębia tajniki elektryczności. W szkole Piotrka stoi popiersie Lenina. Uczniowie chodzą w granatowych garniturach. Przed rozpoczęciem zajęć śpiewają: „Naszą dumą Nowa Huta, a błyskawicą jest nasz znak / Pieśń nasza z dumy jest wykuta, więc niech ją niesie po kraju wiatr / Cześć szkole, cześć sztandarowi, cześć! Ojczyźnie naszej cześć!”.

W nowohuckich liceach i technikach nie można wyglądać, jak się chce. Ekstrawaganckie fryzury czy ubiór nie są tolerowane. Piotrek ma długie włosy. Rano przed lekcjami je przyczesuje, a po wyjściu ze szkoły stawia sobie na głowie irokeza i tak chodzi po osiedlu. Starszy brat daje mu w prezencie czarną skórzaną kurtkę, „ramoneskę”. Piotrek i jego koledzy nabijają ćwiekami paski od spodni. Jest dumny, że na pasku ma cztery rzędy metalowych kolców. Poluje też na szeroki pasek od zegarka, żeby zrobić sobie pieszczochę – skórzaną opaskę z ćwiekami, którą nosi się na nadgarstku.

W Krakowie przy ulicy Bohaterów Stalingradu jest sklep z przyborami szewskimi. Tu młodocieni kontestatorzy kupują ćwieki na kilogramy.

Schron jedzie na przegląd amatorskich grup w Kłaju. Towarzyszy im duża ekipa punków z Huty. Zespół Piotrka wygrywa konkurs. Jest fantastycznie.

Być jak Bruce Lee

Przeorana przez stan wojenny dzielnica pogrąża się w marazmie. Jedyne nadzieje w niedawno otwartym Nowohuckim Centrum Kultury. Jest tam kawiarnia, a takich lokali w Hucie ubywa.

W kinach całego kraju od półtora roku króluje „Wejście smoka” z Bruce'em Lee. W Nowej Hucie film można obejrzeć w Świato-

widzie, na małej sali. Dwa seanse dziennie, dla widzów powyżej osiemnastego roku życia.

Na fali popularności filmu wieczorami w szkołach odbywają się kursy karate. Nabyte tam umiejętności mają służyć samoobronie, ale równie dobrze przydają się do ataku. Niektórzy chcą być jak Bruce Lee i uczą się władać nunczako. To japońska broń obuchowa. Można ją wykonać własnoręcznie, łącząc dwie pałki kawałkiem łańcucha lub nylonowej linki.

Piotrek też zapisuje się na karate, ale wytrzymuje tylko kilka treningów. Nie może sobie pozwolić na kontuzję, bo ręce i nogi potrzebne mu są do grania.

Schron występuje, gdzie się da. Są zapraszani na komersy w podstawówkach, ale grają też na podwórkach.

Piosenki o bójkach

Trwający od kilku miesięcy konflikt między punkami a popersami zaognia się. Prowokacyjnie ubrane punki wyznają filozofię niczym nieskrępowanej wolności. Eleganccy popersi cenią karierę i pieniądze.

Na osiedlach coraz częściej jedni i drudzy stają naprzeciwko siebie. Sypią się ciosy i kopniaki, ale w ruch idą także pasy, nunczako i bosmanki – grube węzły zrobione z namoczonej żeglarskiej liny. Oberwać taką to ból, jakby ktoś buławą przyłożył.

Na niektóre bitwy ściągają posiłki z innych miast. Wtedy każda z walczących stron może liczyć nawet dwieście osób. Do bójek dochodzi przed szkołami, empikiem, kawiarnią Agatka, restauracją Zacisze, piwiarnią Oaza, na Łąkach Nowohuckich i pomiędzy osiedłami Tysiąclecia i Złotego Wieku, obok budowanej linii tramwajowej do Mistrzejowic.

Robert: – Obowiązywały pewne zasady. Gdy kilku punków osaczyło samotnego popersa, to go nie kopali, tylko obcinali mu grzywkę.

W środowisku nowohuckich popersów wyróżnia się chłopak o znaczącym nazwisku Król. Jest potężnej postury i umie się bić.

Piotrek: – Wiele razy punki się namawiały, że złapią Króla i obetną mu grzywę. W końcu się uspokoił. Chyba oberwał od kogoś albo młodo się ożenił.

Popersi lubią przesiadywać w kawiarni Nowohuckiego Centrum Kultury. Któregoś dnia nie mogą z niej wyjść, bo na zewnątrz czekają punki. Interweniuje ZOMO.

Robert: – Mam wrażenie, że popersi mieli poparcie milicji. Często było tak, że kiedy zjawiał się radiowóz, szybko znikali.

Piotrek nie bije się z tego samego powodu, dla którego wcześniej zrezygnował z treningów karate: – Ja i moi koledzy z zespołu mieliśmy świadomość, że „pracujemy rękami”. Gdyby komuś z nas złamano choćby palec, byłby to koniec grania.

Echa bijatyk pojawiają się za to w tekstach utworów. Jeden z nich wychodzi spod ręki drugiego gitarzysty. Fanom się podoba. Na koncertach śpiewają go chórem.

Wbrew więzom krwi

Czasem przed biciem chroni to, że wróg mieszka w sąsiednim bloku. Gitarzysta Schronu zna popersów ze swojego osiedla. Nie ruszają go.

Bywa jednak, że konfliktowi nie są w stanie zapobiec nawet więzy krwi.



Pewnego razu Piotrek wraca z odwiedzin u kuzyna. Kiedy wychodzi z klatki schodowej, zaczepia go czterech popersów. Trochę się szarpia.

– Bijatyki nie było. Już nie pamiętam dokładnie, dlaczego. Może akurat ktoś przechodził i to mnie uratowało.

Od znajomych Piotrek dowiadyuje się, że napad na Kolorowym to sprawa właśnie jego kuzyna. Podejrzewa, że chciał się popisać przed kolegami. Jedzie do niego i w odwecie przycina mu grzywkę.

Socjolodzy zajmujący się problemami młodzieży wytłumaczyli- by zachowanie kuzyna inaczej: rówieśniczy gang poddaje nowego członka próbie lojalności. Przejdzie ten chrzest, jeśli potrafi zaszkodzić konkurencyjnemu gangowi.

Po tym wydarzeniu Piotrek i kuzyn nie odzywają się do siebie przez trzy lata. Później wszystko wraca do normy.

Obciążoną grzywkę kuzyna Piotrek wkłada do woreczka i nosi ze sobą niczym talizman. Koledzy z zespołu śmieją się, że lepiej będzie umieścić ją w słoiku i wozić na koncerty.

Luz w budowlance

Połowa stycznia 1984 roku. Robert i jego młodszy brat są sami w domu, gdy wpadają esbecy. Nie mają nakazu. Przekopują całe mieszkanie, a chłopcom grożą śmiercią rodziców i domem dziecka. Wtedy zjawiają się ojciec z matką.

Za działalność ojca w Solidarności Robert dostaje trzy dwóje na półrocze i musi opuścić technikum. Z wilczym biletem odbija się od gabinetów dyrektorskich we wszystkich krakowskich szkołach. W końcu trafia do budowlanki na osiedlu Kościuszkowskim. To szkoła przyzakładowa, należą do Budostalu-8. Być może w przyjęciu

Robert pomaga to, że ojciec pracuje w Budostalu-2.

Przynajmniej jeśli chodzi o fryzurę i strój, w zawodówce jest luz. Pod warunkiem, że są utrzymane w czystości.

Robert: – Nikt się nie czepiał, czy jesteś hipisem czy punkiem. Ważne było zachowanie i oceny.

Ojciec Roberta przez kilka następnych lat nie dostaje paszportu. Zagraniczne kontrakty go omijają.

Wylęgarnia subkultur

Marzec 1984 roku. W kilku ogólnopolskich dziennikach ukazuje się lakoniczna notka Polskiej Agencji Prasowej informująca, że najmłodsza dzielnica Krakowa stała się areną walk pomiędzy rywalizującymi ze sobą gangami młodzieżowymi.

Na konferencji prasowej rzecznika rządu sprawę podnoszą zagraniczni korespondenci. Domagają się komentarza w sprawie wydarzeń opisanych w depeszy. „Nowa Huta jest od dawna wylęgarnią wszelkich subkultur”, z niesmakiem odpowiada Jerzy Urban.

W dzielnicy zjawiają się dziennikarze z całej Polski. Spotykają się z uczniami, nauczycielami, robotnikami, lokalnymi władzami oświatowymi i organami ścigania. Tygodniki publikują owoce tych rozmów.

Jedni żurnaliści szukają sensacji, donosząc o krwawych porachunkach i wyliczając obrażenia poniesione przez uczestników. „Wielu młodych ludzi zostało pozbawionych owłosienia, paru młodzieńców straciło po kilka zębów, miało złamane nosy, a twarze uszkodzone żyłkami”, alarmował reporter „Echa Krakowa”, opisując skutki bójki, która rozegrała się 28 stycznia na osiedlu Dąbrowszcaków. Inni próbują ustalić przyczyny agresywnych zachowań no-

wohuckiej młodzieży. Piszą o rodzicach goniących za pieniądzem i braku atrakcyjnych zajęć pozalekcyjnych. Wskazują na niewydolność organizacji młodzieżowych, takich jak Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

W studenckim klubie Żaczek trwa sesja nagraniowa Schronu. Zespół rejestruje materiał na kasetę zatytułowaną, a jakże, „Do schronu!”

Piotrek: – Fajne, punkowe numery. Nagrywaliśmy je całą noc. Pamiętam obracające się szpule. Później ta taśma gdzieś się zawieruszyła.

Ideowcy i przebierańcy

Obraz Nowej Huty przedstawiony w artykułach prasowych jest niespójny, a ich autorzy wykazują nieraz brak podstawowej wiedzy o tym, kim są punki i popersi. Nie potrafią odróżnić ideowców i spokojnych fanów muzyki od przebierańców, którzy wszczynają bójki z nudy lub dla draki.

Piotrek: – Zdarzało się, że rozmawiałem z gościem, który wyglądał jak punk. Ale jak go spytałem o Exploited czy Brygadę Kryzys, to nie wiedział, o co chodzi.

„Głos Nowej Huty” publikuje listy do redakcji, w których punki i popersi przerzucają się oskarżeniami, a redaktorom tygodnika zarzucają stronniczość w ukazywaniu adwersarzy.

W klubie Tabakiera należącym do nowohuckich zakładów tytoniowych spotykają się fani grupy Lady Pank. Nastolatki narzekają, że są pod pręgierzem opinii publicznej tylko dlatego, że o ich idolach wspominał jeden z bijących się punków. Jak powiedział dziennikarzewi, uganiał się za popersami, bo musiał bronić dobrego imienia warszawskiego zespołu.

Ale Lady Pank poza brzmieniem nazwy nie mają nic wspólnego z punk-rockiem.

Rzecznik prasowy Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych ma dziennikarzy powyżej uszu. Uważa, że niepotrzebnie rozdmuchują całą sprawę. Tłumaczy, że nowohuckie osiedla zawsze były się ze sobą. Że tutejsza młodzież nie ma się gdzie wyszumieć. Że naprawa tego stanu rzeczy to nie zadanie milicji, lecz szkoły i innych instytucji wychowawczych.

Trzydzieści lat później historyk Remigiusz Kasprzycki napisze w książce „Dekada buntu. Punk w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1977–1989”, że aparat bezpieczeństwa zignorował zajścia, nie dopatrzwszy się w nich zabarwienia politycznego. Na głowie miał walkę z prężnie działającymi lokalnymi strukturami nielegalnej opozycji.

Podziały w środowisku nastolatków są partii i jej organom na rękę. Choć zdarza się również, że w wyniku interwencji ZOMO punki i popersi tworzą wspólny front i atakują funkcjonariuszy.

Z czasem walki ustają. Na osiedlach coraz rzadziej widzi się grupy popersów.

Robert: – Myślę, że po prostu w drugiej połowie lat osiemdziesiątych kolesie zaczęli powoli kręcić lody. Dzięki rodzicom mieli kontakty i dostęp do kapitału. To też pozwoliło im później ustawić się w nowym ustroju.

Każdy ma swoją drogę

W 1989 roku Robert zdaje maturę. Zaczyna studiować nauki społeczne i dziennikarstwo. Uczestniczy w pionierskich badaniach polskiej sceny politycznej po transformacji. Jako temat pracy magisterskiej wybiera sobie działalność Janusza Korwin-Mikkego.

W ostatnich latach często bywa w Grecji. Na wyspie Zakintos pracuje jako pilot i przewodnik. W wolnych chwilach uczy się greckiego, żeby śledzić w internecie informacje o tamtejszej scenie muzyki niezależnej.

Nadal jeździ na koncerty, coraz częściej za granicę. Czasem udaje mu się namówić na taki wyjazd znajomych i wtedy wynajmuje mikrobus.

Kiedys w jednym z krakowskich pubów rozpoznaje go dziewczyna, której przed laty kupił bilet na koncert.

Piotrek przestaje grać punk-rocka na początku lat dziewięćdziesiątych. Zostaje zawodowym muzykiem i zwraca się w stronę łagodniejszych dźwięków. Jest przede wszystkim gitarzystą, za bębnami siada rzadziej. Najczęściej akompaniuje wykonawcom piosenki autorskiej, na przykład krakowskiemu bardowi Pawłowi Orkiszowi. Od kilku lat koncertuje też z własnym kwartetem Kracoustic. Na koncercie mają wspólny występ z Patrycją Markowską.

Piotrek pracuje też jako muzykoterapeuta w domu pomocy społecznej w nowohuckim Łęgu.

Utrzymuje kontakt z dawnymi kolegami z zespołu. Wszyscy zerwali z graniem. Basista jest kierowcą miejskiego autobusu, a pierwszy gitarzysta robi beczki do wina. Drugi gitarzysta był inżynierem. Zginął w wypadku samochodowym na Ukrainie.

Kasety Schronu nie udało się odnaleźć do dziś.

Piotrek nadal nosi długie włosy, tylko bardziej kręcone. Już nie stawia ich w czub. Czasem ubiera swoją starą „ramoneskę”. – Jeszcze się zapinam – śmieje się.

Robert: – Każdy ma swoją drogę. Dawniej rzucałem kamieniami w ZOMO, biłem popersów i skinheadów, a od ćwierć wieku jestem społecznym kuratorem w sądzie rodzinnym.

Kiedy Piotrek odwiedza Nową Hutę, rozpoznaje ludzi na ulicy. Dziś są już po pięćdziesiątce, ale ich twarze wyglądają znajomo.

– Mówię wtedy do siebie: „O, tego pamiętam. On na pewno był popersem”.

Andrzej Robak

obserwator wydarzeń z kręgu kultury alternatywnej, które czasem współorganizuje i o których niekiedy pisze w prasie. Na co dzień usiłuje zarobić na życie, tłumacząc i redagując teksty. Okazjonalnie pracuje przy organizacji produkcji audiowizualnych. Przez krótki czas był zatrudniony w tak zwanej korporacji, co uważa za ciekawe doświadczenie. Od urodzenia mieszka w Nowej Hucie.



Bzykana z sokiem

Katarzyna Gafek

Do budki na Kazimierzowskim przychodzili nieraz z fałszywymi pieniędzmi. Nabrali towaru i chcieli płacić. A z pieniędzy farba schodziła. Przecinali też węże, którymi woda szła. Teraz młodzi przychodzą i mówią: „Pani Helenko, jakby ktoś pani chciał krzywdę zrobić, to niech pani mówi”.

1.

– Z tamtej strony miałam i pod Styłową. Jeszcze pod dworcem głównym w Krakowie, tam córka sprzedawała. Tutaj stałam, ale krótko, bo ruchu nie było. W międzyczasie kioski i takie budki, jak tę, prowadziłam. Na pętli na Rakowicach na przykład. Jezu, co tam tego wszystkiego szło! Nawet sery z Lublina! Towar mi o trzeciej nad ranem przywozili. Jechali do wojskowości, a po drodze do mnie. Zawsze wstawałam wcześniej i długo handlowałam. Na Kazimierzowskim to i w nocy, bo z huty szli po drugiej zmianie, to jeszcze, jeszcze pili wodę. A młodzieży, to tyle było... Teraz jakbym postawiła w te upały, tobym miała zysk. No, ale do hydrantu już bym się nie podłączyła.

Dzisiaj pani Helena wstała o trzeciej trzydzieści. Chociaż jeszcze wieczorem przebudziła się z drzemki i wystraszona, że zasnęła, zaczęła zbierać się do pracy. Zrobiła herbatę do termosu, do drugiego wlała zupy, nim zorientowała się, że to nie rano. Podlała kwiaty w domu, na balkonie, przed blokiem i poszła spać drugi raz.

– To było zadziwiające – uśmiecha się – jasno i powietrze nagrzane

jeszcze. Patrę, żaden dostawca nie dzwonił, a to już wpół do dziesiątej, a ja od czwartej rano powinnam być, bo precle i drożdżówki wtedy przywożą. Trzeba poukładać wszystko, wody poprzynosić i za chwilę są ludzie. Idą do pracy na piątą. Potem maleje ruch, ale siedzę do szóstej, bo to już wszyscy przyzwyczajeni. Jakbym wcześniej zamknęła, to zaraz by było: „Co się stało? Czemu mnie nie ma?”. Znam tu wszystkich. Mówią, że jestem wrodzona w to miejsce. Bez przerwy przychodzą, przyjeżdżają i pytają: „Pani miała saturator z drugiej strony?” O! Idzie ten pan – przerywa i wychyla się z budki – co się codziennie pyta: „Pijemy wodę z saturatora?”. Halo! Gdzie pan idzie? – woła pani Helena.

– Dzień dobry! – odpowiada mężczyzna i przystaje na chwilę. – Ależ pani tę budkę wymalowali! Pięciu złotych bym nie dał za taką robotę! Fuszera jakaś! Dziury pozostawiane! – dodaje odchodząc.

Rzeczywiście budka, jakby niedokładnie odmalowana, ale dzięki tej świeżej żółci widać ją z daleka. Wszystko jedno, czy stoi się na przystanku tramwajowym DH Wanda, czy z drugiej strony ulicy, na osiedlu Kazimierzowskim, gdzie przez lata stał saturator.

2.

– Tam było bardzo dobre miejsce – tłumaczy pani Helena, stojąc w bocznych drzwiach i wskazując na wprost. – W którą stronę by ktoś nie szedł, musiał mnie minąć. Dużo tego szło. Bez przerwy napełniałam zbiornik.

On na początku roku – wyjaśnia – musiał być wyczyszczony, napełniony, nagazowany i sanepid go plombował na czterdzieści osiem godzin. Potem brali próbki. Sprawdzali, czy nie ma bakterii i kamienia. Dawali pozwolenie. Trzeba było opłacić. W trakcie sprzedaży też jeszcze kontrolowali. Brali sok do analizy i wymaz ze szklanek. Ja nie miałam problemów żadnych. Codziennie gazy wygotowane, wyprane, wszystko wymyte.

Saturator z parasolem stał na Kazimierzowskim do późnych lat osiemdziesiątych. W latach dziewięćdziesiątych pani Helena przeszła na emeryturę. Dzisiaj ma osiemdziesiąt dwa lata. Nadal handluje. Cała budka zastawiona jest kolorowymi napojami, słodyczami i preclami. Stoją wszędzie. Za szybą, przed okienkiem i w środku. Rano trzeba wszystko powykładać. Wieczorem pochować. Wszystko ciężkie, ale lżejsze od butli z gazem i saturatora.

– Te butle to były trzydziestki, czyli po trzydzieści litrów – opowiada pani Helena. – Stały pod saturatorem. Woda do zbiornika leciała przez węże z hydrantu. Dopuszczało się gazu i zamykało. No i był sok. Malinowy albo wiśniowy.

Mówiono na spienioną, gazowaną wodę „Gruźliczanka”, bo obawiano się, że płukane na miejscu szklanki, nie są całkiem czyste i sterylne. Ci, którzy ją pili, mówili „Bzykana” albo „Bzykana z sokiem”. Sok w tamtych czasach to był rarytas.

– Ojej! – pani Helena śmieje się. – Całe góry, całe wszystko zjeździłam, żeby zdobyć gdzieś soki. Bo te, co przywozili ze „Społem”, nie były dobre, blade i takie. Robiłam sok z czarnego bzu i dolewałam dla koloru, do tych słabych. Wtedy woda miała piękny kolor. Wszyscy byli zachwyceni.

Znalazłam też panią w Tenczynku. Zaprowadziła mnie do kierowniczkii i rzeczywiście załatwiła mi soki. Miałam już samochód i jeździłam. Ładowałam je i jechałam powoli, żeby tylko dojechać, żeby gdzieś na dziurce nie utknąć, żeby mi coś nie poszło w samochodzie.

Bo samochód się psuł i czasami stawał w połowie drogi. Najczęściej ktoś brał go na hol.



3.

Raz pani Helena poprosiła o pomoc ZOMO, bo akurat obok nich silnik się zatrzymał i nie mogła ruszyć dalej. Wskoczyli wszyscy z nyski i przeszukali samochód. Holować nie pomogli. Ale innym razem, gdy ktoś groził, że spali jej miejsce pracy, milicja pomogła.

– Zresztą byłam bardzo odważna – zamyśla się. – Jak ten facet mi mówił, że mi to wszystko roz... i tak dalej, to ja powiedziałam: „Tylko spróbuj! Zaraz milicja przyjedzie i sprzątnie ciebie!”. Fakt, że akurat jechali, wtedy mieli te niebieskie suki. Krzyknęłam: „Pomóżcie!”. Wyszli. Dowod. Paszport. Nie ma. Pokazuje, żeby go w kajdanki. No to spalowali go, bo wtedy wolno było.

Historia się zmieniała, a ona sprzedawała. Stała z saturatorem cały czas. Jak było niebezpiecznie, podjeżdżała z nim pod samą ścianę.

– Gazowali, a ja stałam – spokojnie opowiada. – Jak już było naprawdę bardzo późno i ostro, to zamykałam. Czasami uciekałam, chowałam się za kioskiem z kwiatami. Zrywałam pokrzywy, chwasty i ukrywałam ten saturator, żeby go nie zabrali. Szaleli. Uciekali i gonili. Kiedyś nie zdążyłam zamknąć i przebiec na drugą stronę do domu, więc schowałam się w swoim garażu. Strach! Pełno soku! Jakby mnie dopadli, a tam butelki pod sam sufit... Innym razem biegła młodzież, gdy już butle były odłączone i wody chcieli, nawet bez gazu. „Gazu mamy dosyć w sobie” – mówili. No, bo to w nich rąbali gazem i czerwoną wodą lali.

A tu mam ślad – pokazuje na czole małą bliznę. – Ktoś mi odkręcił śrubę od butli pod saturatorem i tak mnie rąbnęła w głowę, że mnie cucili. Krew leciała. Chyba zasłabłam.

Pewnego dnia siedziała w domu i robiła rozliczenia z kiosków. Przybiegł obcy człowiek. Walił w drzwi. Krzyczał: „Szybko, niech pani idzie, bo saturator chcą zabrać na barykady!”. Poleciała. Na szczęście mieszkała blisko. Jakaś kobieta pilnowała saturatora. Siedziała na klapie i krzyczała: „To jest mój saturator! Nie weźmiecie go!”.

4.

– Dwóch chłopaczków dopadłam – pani Helena denerwuje się na samo wspomnienie – mówię: „Pomóżcie mi saturator schować!”. ZOMO stało. Mnie puścili, ale ich skontrolowali i jeszcze pałami zbili. Takie czasy. Aleśmy saturator uratowali.

Opowiada i sprzedaje. Co chwilę ktoś mówi: „Dzień dobry”. Każdemu odpowiada, wychyla się przez drzwi, rozgląda się naokoło. Przypomina sobie kolejne wydarzenia.

Jak ją okradł młody człowiek, a potem przepraszał.

Jak stanął przed wejściem do budki inny, rozchylił ubranie i pokazał „cały interes”.

Jak wyskakiwali z samochodów z nożami, siekierami i maczetami.

Jak obserwował ją i śledził ktoś po zamknięciu budki, a ona wbiegła do klatki i sąsiedzi ją uratowali, „bo sąsiedzi zawsze otworzą”.

Jak w Hucie pracowało ponad trzydzieści osiem tysięcy ludzi, stała z saturatorem i pomagały jej córki i mąż, póki się nie rozstali. Potem była tylko ona i dzieci.

– Od maleńkiego były nauczone pracy – mówi z dumą. – Otwierały saturator, potrafiły butlę podłączyć, napełnić wodą. Wszystko potrafiły takie małe dziewczyneczki. Pieruńsko zdolne. Wnuczkę też mam pracovitą. Tyle języków zna. Tyle krajów już zwiedziła. Ja też podróżowałam.

Zjeżdżałam ponad trzydzieści pięć krajów. Brałam dwa tygodnie urlopu i jechałam. Wolne miałam, jak nie było pogody albo ruchu. Mówiłam do dzieci: „Zamykamy i jedziemy!”. No, ale wtedy to nawet było mnie stać, żeby córki zabrać na obiad do Zamkowej, do Niepołomic albo nad zaporę do Czchowa.

Teraz wolne ma soboty i niedziele. Mieszka sama. Już chciała zrezygnować z kiosku, ale każdy zarobiony grosz się przyda. I do ludzi wyjdzie. I pogada. I w słoikach rozda jedzenie, którego nagotowała.

Łazienki przy saturatorze nie miała i w żółtej budce też jej brak. Biegnie do domu albo do kiosku obok. Dawniej, po drugiej stronie, leciała do zakładu fryzjerskiego.

– Człowiek może sobie wszystko wyregulować. Przyzwyczać się – mówi i na nic nie narzeka.

W budce ma za to Atlas Świata, bo czasami ktoś gdzieś jedzie i ona wtedy sprawdza, gdzie jest dany kraj. Ma też rozmówki polsko-niemieckie, żeby sobie przypominać obcy język.

Wyciąga kilka zdjęć z młodości, z burzą czarnych włosów, upiętych w wysoki kok.

– Dwa razy w tygodniu chodziłam do fryzjera. Raz się uczesać i raz przeczesać – wspomina i wyciąga wydrukowane zdjęcie z internetu, na którym stoi za saturatorem. – To mi przyniosła znajoma. Trochę się rozleciało, ale w Muzeum PRL-u też mi zdjęcie zrobili. Byłam w Kronice Krakowskiej i telewizji śniadaniowej. O piątej rano nagrywali pod ratuszem, potem o siódmej piętnaście to leciało. We wszystkich gazetach o mnie pisali. W Teatrze Łaźnia też ponoć zdjęcie jest. Jak do muzeum w Gliwicach kupili kiedyś saturator, to tak mnie męczyli, aż pojechałam prezentować. To był taki trup, że zamiast wodę nalewać z przodu, to ta część z tyłu była. Tylko wysiadłam, już pełno dziennikarzy wokół mnie. Od razu wywiady robili. Tak jak pod Stylową, gdy występowałam. Tam z kolei pożyczili saturator z Teatru Ludowego. Też taki trup. To już nie było podłączone do hydrantu, jak kiedyś. Nalewałam wodę gazowaną z butli, ale i tak się ludzie zlecieli i od razu się kolejka zrobiła. Jak mnie zobaczyli, to krzyczeli: „O Boże, nareszcie wróciła!”. Takie wspomnienia dla wszystkich – aż w oczach pani Heleny pojawiają się łzy.

Ze wszystkich saturatorów najdłużej miała ten na Kazimierzowskim. Tam jej było najlepiej. Żeby mieć szklanki, jeździła samochodem albo pociągiem do Związku Radzieckiego i na Węgry. Nie były to „musztardówki”, tylko karbowane szklanki z grubego szkła. Sama je dźwigała. Potem wydała wszystkie saturatory. Nie wie, dokąd poszły. Może na złom. Zjawiła się kilka lat później jakaś kobieta z Ameryki i chciała jeden kupić, ale już było za późno. Już były kioski. Teraz został ten jeden – żółty, a w nim pani Helena. Wychowana przez ciotkę w Stróżu nad Dunajcem. Matka dwóch córek. Kobieta drobna i samodzielna. Zawsze dawała sobie radę.

– Ludzie się zmieniają. Czasy się zmieniają – mówi, sprzedając puszkę coli za dwa pięćdziesiąt. – A kobiety są silne.

Katarzyna Gałek (ur. 1977)

dziennikarka, politolożka, reporterka, researcherka, fotografka, barmanka.

Publikowała w zbiorze reportaży *Światła Małego Miasta*. Współpracowała przy książce i audio serialu *Głosy*. Pomaga przy zbieraniu materiałów do drugiej części *Policyjnego Archiwum X* Izby Michalewicz i w nowym projekcie *widmorozproszone.pl*.



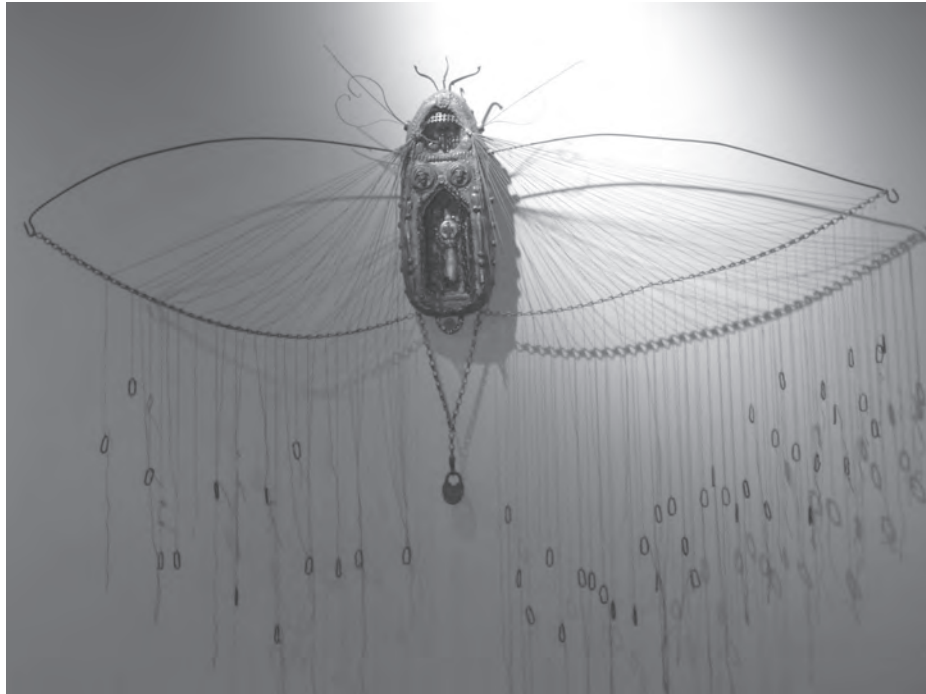
Pod osiedlową chmurką

Małgorzata Czerni-Czaja

Sobota, koniec kwietnia 1973 roku „Głos Nowej Huty” krzyczy czerwonymi literami: „Niech żyje i zwycięża socjalizm! Niech się święci pierwszy maja!”. Dalej zapowiedź doniosłego wydarzenia: „Dziś o godzinie 19:30 nastąpi przekazanie pomnika Włodzimierza Iljicza Lenina społeczeństwu Nowej Huty”. Dla mieszkańców dzielnicy przygotowano też widowisko plenerowe pod wymownym tytułem „Myśl wielka jak czyn”. Wszyscy mieli radośnie świętować z okazji „pogłębiającej się solidarności ludzi pracy całego świata w walce o pokój”.

Na zdjęciach archiwalnych z tej uroczystości widać tłum w Alei Róż, ale nie wiadomo, kto tam się radował, a kto cicho klął ze złości za utraconymi trzynastkami i premiami, które kombinat przekazał na budowę pomnika. To jeszcze nie była pora na otwarte bunty, głośne narzekanie czy choćby kpinki. Dopiero za kilka lat Jan Polkowski napisze, umykając cenzurze, o „sześciometrowym kolosie, co wraca zmęczony z roboty do baraku”. Ktoś spróbuje polać pomnik walerianą, żeby zwabić okoliczne koty, które już zadbałyby o odpowiednie uhonorowanie Włodzimierza Iljicza. Podpici cinkciarze będą mu przynosić kotlety ze Stylowej, krzycząc, że to obiad dla Lenina. Ktoś inny podrzuci stosowne utensylia wraz z legendarną karteczką o treści: „Masz tu rower, stare buty, wypierdalaj z Nowej Huty”. Wodza z brązu dosięgnie też ręka zamachowca, niezbyt wprawna lub nazbyt litościwa, bo w eksplozji Lenin straci tylko stopę. Ostatecznie pomnik rozbiorą w 1989 roku – a jeszcze później trafi do szwedzkiego miasteczka osobliwości.

Ale to jeszcze nie teraz.



il. 01



il. 02

Na razie, miesiąc po celebrowaniu jedności i pokoju w alei Róż, zupełnie inny akt woli twórczej objawił się na asfaltowej ścieżce na osiedlu Centrum D. Też jednocząc, choć skromniej, bez wielkiej pompy i bez ingerencji najwyższych rangą dygnitarzy – wystarczyła przychylność zwykłych członków komitetu blokowego. Galeria „Pod Chmurką”, stworzona przez Mariana Kruczka, powstała bez odgórných zachęt i bez wymuszonej partycypacji w kosztach, za to angażując mieszkańców, którzy z własnej woli pomagali artyście. Lokalna prasa opisała wydarzenie po swojemu: mocno podkreślając rolę aktywu blokowego oraz uczestnictwo działaczy partyjnych i urzędników, a z samego Kruczka robiąc performerę-żartownisia. Artystę nie całkiem poważnego, w sam raz do poprowadzenia happeningu w celu „humorystycznego popularyzowania plastyki wśród mieszkańców osiedla”.

Sinusoida

Koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku, Płowce pod Sanokiem.

Marian, syn Tekli i Franciszka, jest znany we wsi jako chłopak z talentami. Na weselach i zabawach rysuje portrety sąsiadów. Starsi kiwają głowami z uznaniem, częstują dzieciaka słodyczami. Ale są i tacy, co się obrażają – nie każdy lubi karykatury.

Gdy wybucha wojna i w okolicy Sanoka dociera front, Marian nie porzuca swoich zamiłowań. Biega między szkołą, domem a lasem, gdzie koczowała ewakuowana ludność, a los, jakby na przekór wojnie, biedzie, ciężkim warunkom, co chwilę podsyła kogoś, kto kieruje go krok po kroku w stronę świata sztuki. A to geologa, który pokazuje mu własne amatorskie obrazy i ponoć jako pierwszy zachęca chłopca do studiów artystycznych. A to wiejskiego malarza portretów ślubnych, który zgadza się udzielać mu lekcji. Wreszcie rosyjskiego oficera, który niby żartem chce zabrać ze sobą Mariana, a widząc jego przerażenie, dodaje, że pošle go do szkół i zrobi z niego artystę.

Po wojnie Marian kradnie tytoń, by mieć pieniądze na bilet kolejowy i potajemnie wyjeżdża do Krakowa. W dzień uczy się w liceum plastycznym, nocami śpi w ruderach, czasem na ulicy, a jak się dobrze trafi, waletuje w domu studenckim. Dopiero po pewnym czasie zbiera się na odwagę, by napisać do rodziny, wyjaśnić im, gdzie jest i co robi. Dzięki pomocy jednego z profesorów wreszcie znajduje stałe zakwaterowanie w schronisku.

Po maturze zdradza malarstwo na rzecz sztuki filmowej. Zdaje egzamin wstępny do Łodzi, ale przed rozpoczęciem studiów powstrzymuje go służba wojskowa.

Wtedy nieoczekiwanie wraca do malowania – portretów, scen baletistycznych, opracowań gazetek ściennych – i do przekonania, że to jednak sztuki plastyczne są jego światem. I znów życiowa sinusoida: ponieważ za późno zwolniono go z wojska, spóźnia się na egzamin do Akademii Sztuk Pięknych. I za chwilę kolejny szczęśliwy zwrot: malarz Czesław Rzepiński, ówczesny wykładowca, później rektor, skutecznie walczy dla niego o dodatkowy termin. Kruczek zdaje i zostaje przyjęty na Akademię. Po latach sam zasili szeregi wykładowców na wydziałach grafiki i malarstwa, z czasem przenosząc swoje zainteresowanie na sztuki przestrzenne.

Zacznie się od asambłażu, a skończy na instalacjach i rzeźbie. Ponoć zainspirują go odpady budowlane. W cemencie, drutach i rurkach dostrzeże tworzywo dla rzeźbiarza. Będzie krążył po złomowiskach i placach budowy, zbierając porzucone przez robotników resztki. W okolicy będzie miał pod dostatkiem takiego materiału. Bo w 1956 roku Kruczek przeprowadzi się do ciągle rozbudowywanej Nowej Huty. Najpierw zamieszka wspólnie z innymi zaprzyjaźnionymi artystami, a w końcu trafi na osiedle Centrum D, gdzie otworzy własną pracownię.

Wsiąkanie

Popularne skojarzenia z Nową Hutą? Kombinat, przodownicy, socrealizm. Później: walki o krzyż i „Solidarność”. Również: że niebezpiecznie, że patologia, że pijacy, że dresiarze i że w leb można dostać. To wie każdy, zwłaszcza ten, kto nigdy tu nie był.

Ale sztuka awangardowa? Obrazy, rzeźby, galerie tuż obok bloków i dymiących kominów? I wcale nie siermiężne socrealistyczne malowidła ze szczęśliwymi traktorzystami?

Dziś mało kto pamięta, że w latach siedemdziesiątych mieściło się tu przeszło sto pracowni artystycznych. Od schyłku lat pięćdziesiątych władze chętnie osiedlały twórców we „wzorcowym socjalistycznym mieście”, dbając o ideologiczną nadbudowę. Na szczęście, minęły już czasy „błędów i wypaczeń”, kiedy artystom pozwalano jedynie na poważne tematy, formę narodową i socjalistyczną treść. W latach siedemdziesiątych nie mogli jeszcze co prawda nabijać się z wodza rewolucji, ale przynajmniej nie musieli go rzeźbić czy malować. Żarty, niefrasobliwość? Dobrze, ale z daleka od polityki. Inne manifestacje energii twórczej były mile widziane – nie zawsze poważnie traktowane, czasem po prostu niezrozumiane przez decydentów, ale grunt, że akceptowane. Partia powolutku szła z duchem czasu, puszczała oczko do twórców i już nie wybrzydzała na to, co jeszcze nie tak dawno prezentowano w propagandzie jako odstrasający przykład „zdegenerowanej sztuki kapitalizmu”. A niech sobie ci artyści rozrabiają, tworzą dziwaczne rzeźby i śmieszne obrazy, byle nie sabotowali budowy socjalistycznego rajku.

W Nowej Hucie kolejne bloki projektowano z uwzględnieniem miejsc na pracownię. Taki był „Helikopter” – nowy, modernistyczny blok nr 8 na os. Centrum D. Pracownię, liczącą około czterdziestu metrów kwadratowych, znajdowały się na co drugiej kondygnacji i były osobnym lokalem użytkowym obok mieszkań artystów, które miały pokój, kuchnię i łazienkę.

Kruczek miał swoją pracownię na najwyższym piętrze, gdzie zamieszkał z żoną, też plastyczką, i synem Pawłem, który został później grafikiem. Niżej mieszkał malarz Jerzy Wroński z rodziną (jego żona, Wanda Swaryczewska, była aktorką Teatru Ludowego). W „Helikopterze” żyli i tworzyli również malarze Walenty i Ewa Gabrysiakowie, a na sąsiednich osiedlach m.in. przyjaciel Kruczka, malarz Eugeniusz Mucha, który też pochodził ze wsi pod Sanokiem, malarz i rzeźbiarz Julian Jończyk, malarze Danuta i Witold Urbanowiczowie.

Mieszkali, tworzyli i oswajali sąsiadów ze sztuką. Pierwsza żona Mariana, Józefa Sobór-Kruczek prowadziła ognisko plastyczne dla dorosłych, przez pewien czas razem z mężem. Sam Kruczek wraz z innymi artystami działał w kierowanym przez Jerzego Wrońskiego teatrzyku kukielkowym „Widzimisię” przy Zakładowym Domu Kultury Huty im. Lenina. Rolę lalek i rekwizytów pełniły codzienne przedmioty, na przykład szczotki, naczynia, konewki. Liczyła się umowność i pobudzanie wyobraźni małych odbiorców. Przedstawienia zachwycały najmłodszych nowohucian, a twórcy zaskarbili sobie przychyłność ich rodziców.

– Oni wsiąkali w nowohucką społeczność, bo często mieli to samo pochodzenie, co robotnicy – mówi Barbara Solecka, kuratorka galerii „Huta Sztuki”. – Przyjechali tu ze wsi. Łatwo nawiązywali kontakty. Mimo wykształcenia mówili tym samym językiem, co ich sąsiedzi. W dodatku poczuli się do wypełniania misji edukacyjnej.

Artyści nie stawiali siebie w opozycji do robotników, chcieli im pokazać swój świat. I tym zjednywali sobie sąsiadów. Kruczkowi, który dał się poznać jako plastyk-pedagog, życzliwi mieszkańcy znosili stare rowery i inne żelastwo, żeby miał materiał do tworzenia kolejnych instalacji.

Jerzy Karnasiewicz, artysta fotograf mieszkający na os. Centrum D: – Głównym menedżerem tego fermentu artystycznego w Nowej Hucie był Janusz Trzebiatowski. Chciał wyprowadzić sztukę z ga-



il. 03

lerii i wkomponować w przestrzeń publiczną. Chodził za kierownikami sklepów, żeby pozwalali powiesić obrazy na witrynach. I ci się zgadzali! Ale Kruczek poszedł jeszcze dalej. Wyprowadził sztukę w plener, prosto na ścieżkę osiedlową.

Wspólnota

W jakich okolicznościach narodziła się idea Galerii „Pod Chmurką”, dziś już nie wiadomo. Redaktor „Głosu” twierdził, że pomysłodawcami byli członkowie komitetu blokowego, którym chodziło o rozrywkę dla mieszkańców, połączoną z „nowatorskim sposobem popularyzowania plastyki”. Według innych relacji, to sam Kruczek złożył wniosek w Radzie Dzielnicy, żeby wycelować z otwarciem na koniec maja. Termin nieprzypadkowy – podobno miała to być odpowiadź na kwietniowe odsłonięcie pomnika Lenina.

Joanna Hołdys, córka Jerzego Wrońskiego: – Równie dobrze galeria mogła być jedną z setek niezbyt trzeźwych idei, ale tę na szczęście udało się nazajutrz zrealizować.

Jerzy Karnasiewicz: – Przy szkole nr 91 było boisko do piłki ręcznej. Któregoś dnia wróciłem ze szkoły, patrzę, a tu bramki z boiska stoją między blokami, po obu stronach asfaltowej alejki.

Konstrukcja rosła, wzbogacona o rurki z rusztowań budowlanych. Kruczkowi zależało, żeby każdy miał szansę na zwiedzanie. Stąd usytuowanie na uczęszczanej osiedlowej drodze. Prąd pociągnięto z pobliskiej latarni, bo galeria miała być czynna całą dobę, aby robotnicy powracający z trzeciej zmiany też mogli oglądać ekspozycję. Członkowie komitetu blokowego i inni sąsiedzi pomagali nadać galerii ostateczny kształt. Na zachowanych fotografiach widać dwie bramki-wiaty, stojące równoległe po obu stronach alejki. Ponad nimi wznosi się rurkowa konstrukcja i dwa maszty, na których powiewają flagi Polski.

Joanna Hołdys: – Pamiętam jednego najbardziej aktywnego pana, był przewodniczącym komitetu osiedlowego. Sam kierował pracami. Ci ludzie to zrobili własnymi rękami, ciągle coś przynosili. Nie wiem nawet, czy była jakakolwiek pomoc finansowa. Obok przez cały czas siedziała któraś ze starszych pań (zmieniały się). Robiły na drutach i pilnowały galerii.

Jerzy Karnasiewicz: – Panowie z komitetu dyżurowali tam po nocach, z kocami i termosami.

Oficjalne otwarcie miało miejsce w niedzielę, 27 maja 1973 roku. Wernisaż był równie niezwykły, jak i sama galeria. Artysta szedł z „Helikoptera”, poprzedzany gromadką małych przebierańców – dzieci z osiedla, które niosły sztandar cechowy mistrza. Dalej uroczystym krokiem podążali dorośli mieszkańcy i zamówiona orkiestra Romów. Anna Siatkowska, kierowniczka Wydziału Kultury Dzielnicy Rady Narodowej, uroczystie przecięła wstęgę. Dzieciaki dostały pamiątkowe medale i broszki autorstwa Kruczka. Wśród gości, którzy tego dnia odwiedzili osiedle, byli zaprzyjaźnieni twórcy, ale też zwykli przechodnie i – jakżeby inaczej – lokalny aktyw partyjny.

Jerzy Karnasiewicz: – Nie byłem na otwarciu, ale przechodziłem przez galerię wielokrotnie. Miałem wtedy z piętnaście lat, może bardziej interesowała mnie gra w piłkę na trawniku przy tej ścieżce, ale podobało mi się to, co przy naszym boisku prezentował artysta. Miał niesamowitą wyobraźnię! Z części maszyn wygrzebanych na złomowiskach i w śmietnikach konstruował nie urządzenia, a zwierzątka.

Joanna Hołdys: – Do tej pory mam medal z przypinką, który dostałam od niego na otwarciu galerii. On w ogóle chętnie rozdawał swoje dzieła, spontanicznie dał mi kilka.

Medal jest właściwie małą płaskorzeźbą. Na zielonym tle z miedzianą obwódką i napisem „Galeria Pod Chmurką” widnieją dwa ludzi-



J. i W. Hołdys

il. 04

ki, może małe dzieci, a może leśne skrzaty. Między nimi gwiazdka i (chyba) słoneczko. Czy to bohaterowie ówczesnych bajek?

Joanna Holdys: – Niekoniecznie. To po prostu fantastyczne stworki, jakich pełno u Kruczka. Skojarzenia mogą być dowolne. Materiał, z którego wykonał te medale, to masa podobna do betonu, ale to też jest tajemnicą twórcy. Mam w domu dwie inne płaskorzeźby, niestety ich tytuły nie są znane. Być może w ogóle ich nie nazwał.

Barbara Solecka: – Sąsiedzkie prace przy tworzeniu galerii, a później ten wernisaż i kolejne wystawy – to wszystko było tworzeniem wspólnoty.

Kruczkowiny

Pod wiatami na osiedlowej ścieżce stanęły charakterystyczne metaloplastyczne zwierzaczki i owady, zwane „kruczkowinami”. Artysta zmontował stworzenia z części maszyn, blachy, śrubek, sprężyn, starych sztućców i narzędzi. Zaprezentował też betonowe reliefy z postaciami wywodzącymi się po części z ludowego imaginarium, a po części z dziecięcego świata bajek – dziadami, duszkami, krasnalami, tajemniczymi zjawami, tańczącymi rusalkami. Początkowo galeria miała stać przez dwa tygodnie, ale dzięki staraniom komitetu blokowego została na trzy miesiące. Z czasem i inni artyści wystawili tam swoje dzieła: Bogna Perz-Kruczek (dziś Bogna Becker, wtedy druga żona Mariana), Antoni Kawałko, Eugeniusz Mucha, Jerzy Wroński, państwo Gabrysiakowie, Andrzej Wilk, Ryszard Ledwos.

– Pamiętam „Matkę” Eugeniusza Muchy. Na pewno też bułgarskie pejzaże, które wystawiał Antoni Kawałko, bo Bułgaria była wtedy wakacyjnym marzeniem. Ale i tak najbardziej podobały mi się te robaczki od Kruczka – wspomina Jerzy Karnasiewicz.

Frekwencja w galerii siłą rzeczy była spora, bo poza zainteresowanymi sztuką czy choćby zaciekawionymi nietypowym przybytkiem, musiał zająrzeć tam każdy, kto chciał przejść przez osiedle. Każdy mógł też wpisać się do przygotowanej specjalnie w tym celu księgi gości. Niektóre z tych wpisów zacytował później Stefan Papp w swojej monografii Mariana Kruczka. W księdze najwyraźniej przeważały zachwyty, pochwały i entuzjazm – to były głosy studentów, artystów, ale też osiedlowych dzieciaków i mieszkających w okolicy robotników: „Panie Kruczek! Co tu dużo mówić – fest! Rób pan, jak Boga kocham, więcej takich rzeczy”. Trafiły się i zaczepki, m.in. porównania do Władysława Hasióra (Kruczek podobno bardzo tego nie lubił), a nawet troska o kondycję psychiczną twórcy. I przekomarzanie: „Czy mógłby pan obniżyć ceny swych prac?” (podpisano: Wład), co Kruczek skwitował krótko: „Nie”. Później w księdze pojawił się dopisek tego samego gościa galerii: „A to przepraszam. Do widzenia!”.

Jerzy Karnasiewicz: – Tam ciągle ktoś się kręcił, ale nie było żadnych prób niszczenia czy kradzieży. Pod koniec sierpnia Kruczek zaczął składać galerię. Poprosił mnie i innych chłopaków, żebyśmy mu pomogli nosić eksponaty do pracowni. W nagrodę za pomoc dostaliśmy wielką torbę czereśni.

Pamiętki

Marian Kruczek nie był tylko lokalnym artystą. Miał ponad pięćdziesiąt wystaw indywidualnych i uczestniczył w ponad stu pięćdziesięciu zbiorowych, m.in. w Szwecji, Belgii, Francji i USA. Był znany w kraju i za granicą, sprzedawał swoje rzeźby na pniu. Kiedy po raz pierwszy dostał zaproszenie do Szwecji, pomysłowo uniknął ostemplowania dzieł. Artyści nie mogli ot tak spieniężać gdzie im się podoba tego, co stworzyli. Prace, które wyjechały z nimi z kraju, dostawały pieczętkę i musiały wraz z nimi powrócić. Kruczek przewiózł elementy instalacji, które dla postronnych wyglądały jak złom i montował wszystko na miejscu.



il. 05

W tym samym 1973 roku powstaje kompozycja przestrzenna ruchoma, czyli przypominająca żagiel okrętu metalowa instalacja „Zdobycia przestrzeń”. Staje na mistrzejowickim os. Tysiąclecia, w „nowej” Nowej Hucie, osiedlach-sypialniach z wielkiej płyty. Niedługo potem artysta otwiera galerię stałą przy ulicy Stolarskiej – „Mała kochanica” (nazwana tak od jednego z reliefów). Potem kolejne wernisaże, ciągle zainteresowanie krytyki i publiczności. Peregrynacje po fabrykach i złomowiskach w poszukiwaniu tworzywa dla sztuki. I ciężka praca. Dosłownie, jeśli wziąć pod uwagę, z jakich elementów tworzył imponujących rozmiarów rzeźby.

W 1983 roku umiera nagle po kilku dniach walki z zapaleniem płuc. Podobno przeziębził się przy rozładowaniu złomu, który miał mu posłużyć do tworzenia kolejnych instalacji.

– Nie mamy po nim prawie żadnych pamiątek – zauważa z żalem Małgorzata Szymczyk-Karnasiewicz, fotograf, aktywistka lokalna. – „Stępek” na Stolarskiej, „Mała kochanica” w kawiarni C-2 Południe i „Zdobycia przestrzeń”, która ma znacznie mniej szczęścia, niż dzieła prezentowane pod chmurką na naszym osiedlu. Jeszcze za jego życia mieszkańcy chcieli się pozbyć tej instalacji, bo im dzwoniące łańcuchy przeszkadzały.

W Krakowie można zobaczyć jeszcze trzy inne rzeźby – „Żuk” i „Kolka” (obie w Hucie Sztuki) oraz „Chodaki” (tuż obok, w Ośrodku Kultury im. Norwida). Los „Zdobycia przestrzeni” jest niepewny – łańcuchy dawno padły łupem zbieraczy złomu, instalacja niszczy się, a niektórzy lokatorzy z okolicznych bloków woleliby mieć w tym miejscu parking i co pewien czas zagadują miejscowych radnych na ten temat.

Barbara Solecka: – Kruczek to artysta niesamowity, wyprzedzający swoje czasy. Jego prace powinny być tym bardziej cenione dziś, kiedy coraz więcej mówi się o recydingu i potrzebie wartościowego wykorzystania przedmiotów, które tylko na pozór są beużyteczne. Przecież on właśnie to robił, tworząc swoją sztukę.

Na miejscu Galerii „Pod Chmurką” stoi dziś blok nr 9 – zbudowany w 1976 roku wielkopłytkowy kolos, górujący nad resztą osiedla. Kilka lat temu Małgorzata i Jerzy Karnasiewiczowie zorganizowali rocznicowy osiedlowy piknik, upamiętniający dokonania Kruczka. Na ścianie garażu obok „dziewiątki” zawisły zdjęcia, przedstawiające najbardziej znane dzieła artysty i kopie fotografii z czasów istnienia Galerii „Pod Chmurką”. Był i sztandar, przygotowany przez nowohucką pracownię krawiectwa artystycznego „Nova Manufaktura”.

– Przyszli ludzie, którzy byli świadkami otwarcia Kruczkowej galerii i rozpoznawali się na zdjęciach – opowiada Małgorzata Karnasiewicz.

Joanna Hołdys: – To był jeden z największych polskich artystów. To, że został prawie zapomniany, to nieporozumienie. Całkowity indywidualista, nikomu niczego nie tłumaczył, chociaż mówił dużo. Sam wraz ze swoją pracownią i gadaniem był dziełem sztuki.

Urzednicy miejsca obiecują rewitalizację nowohuckich podwórek, m.in. tego na Centrum D. Ma być pięknie, ma być zielono, ma być przestrzeń do rekreacji i sąsiedzkich pikników. A na osiedlowym skwerze ma stanąć instalacja, nawiązująca do twórczości Mariana Kruczka.

Małgorzata Czerni-Czaja (ur. 1983)

krakowianka, mieszka w Nowej Hucie od 2005 roku (najpierw Czyżyny, a od 2016 roku „stara” NH). Pracuje w korporacji, a po godzinach jest członkinią grupy rekonstrukcji historycznej Kompania Gryfitów. Współpracowała z „Gazetą Wyborczą” i „Dziennikiem Polskim”. W wolnych chwilach wciąż odkrywa swoją dzielnicę i jej historię. Prowadzi blog migawkiblog.wordpress.com.

Ilustracje

il. 1 – Marian Kruczek, „Żuk” – rzeźba w galerii „Huta Sztuki”, os. Górali 5.
Fot. Małgorzata Czerni-Czaja

il. 2. – Marian Kruczek, „Kolka” – rzeźba w galerii „Huta Sztuki”, os. Górali 5.
Fot. Małgorzata Czerni-Czaja

il. 3. – Blok nr 8 na os. Centrum D. Na ostatnim piętrze widoczne okno pracowni Mariana Kruczka (dziś należy do jego syna Pawła Kruczka, grafika).
Fot. Małgorzata Czerni-Czaja

il. 4. – Medal pamiątkowy z otwarcia Galerii „Pod Chmurką”, подарowany Joannie Hołdys, fotografia ze zbiorów prywatnych właścicielki.

il. 5 – Skwer na os. Centrum D. Widok na blok nr 9, który stanął na miejscu Galerii „Pod Chmurką”. Fot. Małgorzata Czerni-Czaja

Literatura

„Głos NH” 1959. 01. 17, R. 3 nr 3 (wywiad z M. Kruczkiem)

„Głos NH” 1973. 04. 28, nr 17 (zapowiedź odsłonięcia pomnika Lenina)

„Głos NH” 1973. 05. 05, nr 18 (relacja z odsłonięcia pomnika Lenina)

„Głos NH” 1973. 06. 02, nr 22 (relacja z otwarcia Galerii „Pod Chmurką”)

„Głos NH” 1973. 07. 21, nr 29 (o wystawach innych artystów w Galerii „Pod Chmurką”)

„Głos NH” – wydanie internetowe 10/06/2016

Muzeum Historii Sztuki w Sanoku – profil FB.
https://www.facebook.com/pg/muzeumhistoryczne.wsanoku/photos/?tab=album&album_id=714799745322372&__tn__=-UCH-R, dostęp 19/07/2019

S. Papp, „Marian Kruczek”, Kraków 1978

Strona Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie – zsm.krakow.pl



Więcej niż klub. Więcej niż zawodnik

Przemysław Langier

A gdyby tak stworzyć coś więcej niż klub sportowy?

Nie tylko drużynę, ale miejsce tętniące życiem od rana do wieczora. Nie ze szczyptą profesjonalizmu, a całą jego garścią. Zawodnikom zapewniające nie tylko lepszy byt, ale otaczające ich szczególną opieką. Kibicom gwarantujące satysfakcję.

Gdzie takie cuda?

– Hutnik. Co to była za drużyna... Wie pan, mam wyłącznie dobre wspomnienia – mówi już w pierwszych zdaniach Marek Karbarz, dwustuosiemnastokrotny reprezentant Polski, siatkarski mistrz świata i zdobywca złotego medalu na igrzyskach olimpijskich w Montrealu. Najlepszy zawodnik *dream teamu*, który stworzył w latach siedemdziesiątych XX wieku Jerzy Piwowar.

Mimo upływu lat entuzjazm Karbarza do Hutnika Nowa Huta da się wyczuć niemal natychmiast. Gdy zaczyna opowiadać, jeszcze nie wiem, że będzie to historia nie tylko o świetnym zespole, ale też o ratowaniu zdrowia.

Kręgosłup

Był rok 1977. Marek Karbarz miał dwadzieścia siedem lat i był na szczycie – rok wcześniej z reprezentacją Polski sięgnął po złoty medal na igrzyskach olimpijskich. Uzupełnił nim swoją kolekcję zawierającą już złoto mistrzostw świata w Meksyku. Mógł grać w dowolnym zespole, ale wybrał Hutnika – drużynę, która ledwie kilka

miesiący wcześniej biła się co najwyżej o utrzymanie w lidze.

– Nie chodziło o pieniądze, choć przyznam, że gdy człowiek jest na topie, nigdy nie wybierze zmiany na gorsze. Ale powód był inny – zaznacza. – Nabawiłem się wtedy bardzo ciężkiej kontuzji pleców i nie byłem zadowolony z opieki, jaką obdarzyła mnie Resovia, mój ówczesny klub z Rzeszowa. Otrzymałem wiadomość od prezesa Hutnika Bolesława Szkutnika, który obiecał, że pomoże. Niedługo po transferze faktycznie przeszedłem operację w Krakowie, lekarze i personel okazali się niesamowitymi fachowcami. Nigdy nie żałowałem swojej decyzji, tym bardziej że przy tego rodzaju urazach, a miałem problem z dyskiem, rozbrat ze sportem zazwyczaj był długotrwały.

Trzy miesiące później pokazywał już kolegom na treningach, na czym polega podwójna krótkka, wtedy jego specjalność, a dziś jedno z najpopularniejszych zagrań w siatkówce.

Wkrótce „Przegląd Sportowy” wybrał go najlepszym siatkarzem ligi.

W 1978 roku Hutnik po mistrzostwo nie sięgnął – ten tytuł zdobędzie dwukrotnie dopiero dekadę później, w 1988 i 1989 roku. Ale nazywanie drugiego miejsca w lidze porażką byłoby niesprawiedliwe. Nawet jeśli nowohuccy siatkarze przez większość sezonu byli liderem ekstraklasy i dopiero w ostatnim spotkaniu ulegli AZS Olsztyn 1:3.

– Zawsze brakowało nam tego jednego meczu w końcówce sezonu. Wydaje mi się, że mieliśmy za krótką ławkę, by w tak silnej lidze faktycznie zgarnąć złote medale – wspomina Karbarz.

Zbyt mała liczba zawodników w kadrze negatywnie odbijała się na formie zespołu podczas długiego sezonu. Jeśli zawodnicy na przykład byli kontuzjowani, nie miał ich kto zastąpić. Tymczasem polska liga była wówczas jedną z najsilniejszych w Europie. Najlepiej obrazuje to los drużyny Płomień Milowice, która właśnie w 1978 roku – jako mistrzowie Polski z poprzedniego sezonu – brała udział

w europejskiej Lidze Mistrzów i sięgnęła po Puchar. A jednak w tym samym sezonie w rodzimej lidze musiała uznać wyższość aż trzech innych drużyn, w tym Hutnika.

– Słowa o wicemistrzostwie powinno poprzedzać „aż”, a nie „tylko”. Byliśmy wtedy rewelacją sezonu, a nie kandydatem do tytułu. Kadry co najmniej kilku zespołów w teorii wyglądały okazalej od naszej. Ale daliśmy w Nowej Hucie sygnał, że można rzucić wyzwanie najlepszym. Zbudowaliśmy podwaliny pod późniejsze dwukrotne mistrzostwo Polski.

Zwyczajny niezwykajny

Hotel robotniczy na osiedlu Ogrodowym. Czy raczej: blok z mieszkaniami, które otrzymać mogły osoby szczególnie zasłużone dla huty. Jesteś przodownikiem pracy? Należy się. Dyrektorem? Proszę bardzo.

A może złotym medalistą olimpijskim, który przyszedł budować drużynę Hutnika?

Karbarz: – Dostałem naprawdę ładne trzypokojowe lokum. Na standard życia nie mogłem narzekać. Sąsiedzi wiedzieli, że jestem członkiem złotej drużyny Wagnera. Nigdy nie odczułem, by ktoś z tego powodu kłaniał się niżej, choć zawsze miło było, gdy ktoś zagadał: „co u pana, panie Marku?”. W Hutniku zresztą nie byłem jedynym złotym medalistą z Montrealu – wraz ze mną do klubu dołączył Broniek Bebel.

Siatkarzy zatrudniano w hucie, w specjalnie utworzonym oddziale W-97, a następnie byli oni oddelegowani do treningów.

– Dostawaliśmy za to dobre pieniądze, choć nie były one nawet zbliżone do zarobków dzisiejszych sportowców. Pozwalały na życie trochę ponad średnią. Ale mieliśmy też inne korzyści: dostawali-

śmy przydziały na samochody, mieszkania czy nawet przedmioty codziennego użytku. Na pewno nie czuliśmy się krezusami – przekonuje Karbarz.

Kilka chwil spędzonych z byłym siatkarzem Hutnika pozwala odnieść wrażenie, że słowo „skromność” wymyślono w oparciu o jego usposobienie. Utwierdza mnie w tej opinii trener Jerzy Piwowar:

– Był profesjonalistą w każdym calu – mówi o swoim dawnym siatkarzu. – Pamiętam, że każde polecenie wykonywał z zachowaniem wszystkich detali. Na boisku był typem wojownika, zarażał innych zaangażowaniem. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Nigdy nie dostrzegłem, by spuszczał głowę lub mówił „tego nie da się zrobić”. Ambicją mógłby obdzielić kilku zawodników.

Na fali

Budowa potęgi Hutnika odbywa się na fali entuzjazmu po zwycięstwie siatkarzy Huberta Wagnera na igrzyskach olimpijskich w Montrealu.

Gdy Marek Karbarz zaczyna o tym opowiadać, nikt nie odważyłby się mu przerwać.

– Dziś, gdy wspomina się lata PRL, można usłyszeć o wizytach sportowców w zakładach pracy. To o nas. Po igrzyskach robiliśmy objazdówkę, odwiedzaliśmy też szkoły i uczelnie. Polska żyła siatkówką. W kraju dało się zauważyć radość z naszego sukcesu. Ale nasze twarze nie zdobyły wszystkich rozkładówek, nigdy nie zdarzyło się nam wejść do restauracji i zjeść na koszt właściciela tylko dlatego, że jesteśmy czołowymi sportowcami w kraju.

– Mam teorię, że już wtedy wiele daliśmy dzisiejszej siatkówce. Że to w latach siedemdziesiątych wymyśliliśmy podwójną krótką i budowaliśmy świadomość, czym jest ten sport. Polska była potęgą, od której inni się uczyli.

– Sam jestem ciekawy, jak ułożyłyby się dla nas igrzyska w Montrealu, gdyby nie udało się odwrócić losów pierwszego spotkania. Graliśmy z Koreą Południową i przegrywaliśmy już 0:2 w setach i 0:6 w trzeciej partii [sety grano wówczas tylko do 15, sytuacja była zatem naprawdę fatalna – przyp. aut.]. Wtedy pojawiłem się na boisku i nagle wszystko się odmieniło. Wychodziło mi każde zagranie, to o takich meczach mówi się do dziś „dzień konia”. Nadrabialiśmy straty, aż wreszcie wygraliśmy tego trzeciego seta. Zobaczyłem, że nasza drużyna rośnie, a ja rosłem wraz z nią. Pokonaliśmy Koreańczyków 3:2, a ja na stałe wywalczyłem miejsce w podstawowym składzie. To zwycięstwo zbudowało wszystkich, abstrahując od tego, że rozpoczęcie turnieju od wygranej zawsze jest bezcenne. Narod w nas wierzył i my sami uwierzyliśmy. Później w *tie breakach* pokonaliśmy jeszcze Kubę, Japonię i w wielkim finale ZSRR. Ale wszystko zaczęło się od Korei. Daliśmy się porwać fali euforii, na której płynęliśmy już do końca igrzysk.

A później popłynął na niej również Hutnik.

Młodość i jej prawa

– A teraz, panowie, idziecie na piwo! – głos Jerzego Piwowara rozlegał się po szatni. Nie trzeba było powtarzać drugi raz. W miejscu przepełnionym testosteronem, gdzie średnia wieku nie sięga trzydziestu lat, taki wypadek jest koniecznością. Sam trener nie był dużo starszy od swoich zawodników. Między nim a Markiem Karbarzem były cztery lata różnicy, więc nawet w przypadku najmłodszych zawodników nie było mowy o konflikcie pokoleń.

To Piwowar dbał, by drużyna była scalona. Bo jak zawodnicy mogą dobrze funkcjonować na parkiecie, gdy poza nim się nie dogadują? Pytam Marka Karbarza, jak to w praktyce wyglądało w Hutniku:

– Jurek stawiał na model kumpelski. Był dla nas bardziej kolegą niż



szefem, choć gdy trzeba było przykręcić śrubę, nie wahał się. Zawsze miał wyniki. Podobnie jak Hubert Wagner, u którego jednak współpraca była oparta na znacznie większym rygorze.

W szatni nie brakowało też muzyki, najczęściej zagranicznej. Zawodnicy, korzystając z wyjazdów na Zachód, kupowali tam płyty.

– Nie wiem, jak to się działo – zastanawia się Karbarz – ale przy tym, jak imprezowali piłkarze, siatkarze byli jak potulne baranki. Nie unikaliśmy imprez, bo przecież młodość ma swoje prawa. Gdy mieliśmy ochotę, jechaliśmy do Krakowa i atrakcji nie brakowało. Ale autobiografii z opisem skandali nie byłbym w stanie wydać. Co nie znaczy, że nie wspominam tych imprez z przyjemnością. Trener świetnie rozumiał nasze potrzeby.

Europa w Nowej Hucie. Nowa Huta w Europie

Dzięki sukcesom w kraju drużyna gra w europejskich pucharach i przy okazji zwiedza kontynent.

– Wielką różnicę dostrzegano już po przekroczeniu granicy. To był inny świat – wspomina Karbarz. – Dziś nikogo za granicą już nic nie dziwi, a my obserwowaliśmy wszystko: zachowania, ubiór, styl życia, którego w Polsce się nie znało. Wszystko wydawało nam się lepsze. Cieszę się, że nie dotknęła mnie polityka. Nie wiem, czy partia miała jakąkolwiek wiedzę na temat moich poglądów, ale nigdy nie miałem z nią styku. Nikt nie zmuszał mnie, bym się do niej zapisał, nikt mnie nie nękał.

Zapewne również dla władzy Hutnik i jego sukcesy stały się cenną wizytówką. Był czymś więcej niż zwykły klub.

Jerzy Piwowar: – To był jeden z lepiej zorganizowanych klubów

w Polsce. Mieliśmy kapitalne zaplecze z siłownią i opieką lekarską. Baza treningowa nie pozostawiała niczego do życzenia. To, co w innych klubach było marzeniem, u nas było codziennością. Przyjście Marka i Bronka Bebela było wielkim wzmocnieniem zespołu. Mistrzem olimpijskim nie zostaje się przez przypadek. Nasze mecze oglądały tłumy, a sam obiekt tętnił życiem. Hutnik był wielosekcyjnym klubem, z koszykarzami, koszykarkami, szczypiornistami. W swoich złotych czasach, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, właściwie od rana do wieczora w naszych obiektach coś się działo. Niestety, trudno zestawić to z dzisiejszymi czasami, w których piłkarze i siatkarze grają na poziomie III ligi, a piłka ręczna już całkiem się rozpadła.

Marek Karbarz: – Nie umiem powiedzieć, czy nasza drużyna była jakoś szczególnie traktowana względem żużla, piłki nożnej czy ręcznej, ale organizacja stała na zaskakująco wysokim poziomie. Z tym w Polsce bywało różnie, a my w Nowej Hucie zetknęliśmy się z prawdziwym zawodnictwem. Nie boję się powiedzieć, że organizacyjnie byliśmy w europejskiej czołówce. Brakowało tylko ptasiego mleczka, bo opieka zdrowotna, logistyka, organizacja meczów... Inni mogli się tylko uczyć od Hutnika.

Poza parkietem

Dziś Marek Karbarz ma sześćdziesiąt dziewięć lat i jest na emeryturze. Ale regularnie odwiedza miejsca, które w jego życiu odegrały szczególną rolę:

– Podczas ostatniej wizyty w Krakowie specjalnie wybrałem się do Nowej Huty, żeby powspominać. Odwiedziłem halę Hutnika, zająłem na osiedle Ogrodowe. W latach gry bywałem często na osiedlu Dywizjonu 303, więc i tamtędy się przeszedłem. To niesamowite, jak ta dzielnica się zmieniła, jak rozrosła się infrastruktura. Jest tyle nowych dróg, że z dwa razy zabłądziłem – śmieje się. – Za mo-

ich czasów o Hucie mówiło się, że to niebezpieczna okolica i można stracić zęby. Sam momentów, w których moje ciśnienie bardzo by podskoczyło, nie miałem. Ale też nie błąkałem się po nocach.

Jak sam mówi, cieszy się życiem emeryta, ale nawet długo po zakończeniu kariery da się zauważyć jego wpływ na polską siatkówkę. To on był jedną z osób, która odbudowywała Resovię, przeżywającą na początku XXI wieku wyraźnie słabszy czas. Miał też udział w odkryciu Marcina Komendy, który w Lidze Narodów 2019 był czołową postacią naszej reprezentacji. Komendę i Tomasza Fornalę łączy nie tylko udział w reprezentacji Polski w drużynie prowadzonej przez Vitala Heynena, ale również fakt, że obaj są wychowankami Hutnika Kraków. I obu doskonale zna Marek Karbarz.

– Powiem szczerze: bardzo na nich liczę. Tomek już dziś jest ukształtowanym zawodnikiem, Marcinowi właściwie też niczego nie brakuje. Mam tę satysfakcję, że byłem trenerem ojca Fornalę, a Komendę sprowadzałem do Resovii jako młodego chłopca – kończy swoją opowieść legendarny siatkarz.

Kończy, bo o zdrowiu nie chce mówić. Żalić się nie ma zamiaru. Przekonuje, że jak na swój wiek naprawdę nie ma na co.

Przemysław Langier (ur. 1985)

dziennikarz portalu Onet.pl. Korespondent z trzech wielkich imprez piłkarskich: UEFA Euro 2012 w Polsce, FIFA World Cup 2014 w Brazylii oraz UEFA Euro 2016 we Francji. Od dziecka zafascynowany sportem – zarówno jego historią, jak i obecnymi rozgrywkami. Od kilku miesięcy szczęśliwy tata małej Zuzi, która przysłała na świat w szpitalu w Nowej Hucie.



Prababka

Angelika Klik

w szczególności tobie

a. 1914–1988

m. 1942–2014

b. 1953

b. 1973

a. 1995

o. 2006

1.

być może ten dzień był taki jak każdy, jak cała reszta dni przeżytych ot tak, dzień jakikolwiek, bez znaczenia, dzień, w którym rejestruje się wyłącznie zmiany w natężeniu światła, a nawet dzień bez światła, który nie daje się złapać, podporządkować, zakotwiczyć w czasie. gdyby wyjść o poranku przed dom, poczułoby się chłód, który przenika aż do kości, jak wtedy, kiedy wchodzi się do górskiej rzeki, nawet latem, kiedy ciało zaczyna boleć z zimna, a może poranek był lepki, ciągnął się jak guma i niespodziewanie przemienił w wieczór, który wciąż nie przynosił ulgi. najpewniej nie da się grać fair w stosunku do prawdy tamtej chwili, zatrzymanej przeze mnie nie-naturalnie w reporterskim geście zawłaszczenia. nie chcę szukać początku, słów, które załatają dziury opowieści, odwrócą uwagę od luk. to, co najważniejsze i tak umknie, a mimo to porażce tej opowieści towarzyszy konieczność opowiadania.

czyli poranek. prawdopodobnie jeden z najcięższych w twoim życiu, chociaż nigdy takiego rachunku nie wykonasz. w kieżmarku,

w trakcie wojny, bywało ciężko, chociaż wydawałoby się przez moment, że uda ci się złapać szczęście i ścisnąć je, i nigdy nie wypuścić. poznasz jego, pana z rzepiska, a twoje życie to wówczas sinusoida emocji. to chyba pocieszające, bo przecież stagnacji raczej nie da się wartościować pozytywnie, choć nie wiadomo, czy to dostrzegasz. w każdym razie twoje życie, życie w skali mikro, zaczyna nabierać rozpiędu, rozszerza się w czasie i przestrzeni.

jesteś w ciąży. mówi się, że jeśli kobieta brzydnie – córka zabiera jej urodę. jeśli ma ochotę na słone – może spodziewać się chłopca, jeśli słodkie – dziewczynki, ale nie obchodzi cię to. jesteś w ciąży bliźniaczej, pracujesz jako służąca i jeszcze nie wiesz, że on będzie dokładnie taki, jaki żaden nie powinien być, że zostaniesz zupełnie sama, ty i żadna twoja wina, tylko ciężar odpowiedzialności, który ktoś na ciebie zrzucił. jesteś góralką, mocną podmiotką – tak stwierdzi twoja prawnuczka, której nigdy nie poznasz, której zapewne nawet nie pomyślałaś. nie zdajesz sobie też sprawy, jak wiele przejdiesz, a jeśli byś wiedziała, to nie uwierzyłabyś, jak świetnie sobie poradzisz. jesteś w ciąży bliźniaczej i tylko jedno twoje dziecko przeżyje – m.

2.

m. będzie z tobą, kiedy spłonie dom, a on po prostu odejdzie, by wieść swój żywot z dala od konsekwencji, z mniej zobowiązującym horyzontem, zaznawszy spokoju ekonomicznego, którego ani ty, ani twoja córka, ani wnuczka, ani prawnuczka nigdy nie zaznacie. m. będzie z tobą, kiedy twojej rodzinie łatwiej będzie dać ci parę groszy na drogę i wysłać do powstającego właśnie miasta, gdzieś w okolicach krakowa, niż znaleźć dla ciebie kąt w domu, w którym się wychowałaś. niektórzy będą później twierdzić, że głupio postąpiłaś zrzekając się majątku na rzecz brata – ty jednak wiesz coś, z czego oni nie zdają sobie sprawy. cierpiałas i stałaś się dumna, i nigdy tam nie wrócisz, a twoja córka nawet lata po twojej śmierci nie zbliży się do tego domu. wiesz już, że nie masz nic do stracenia, że to, co przyniesie droga,

jest jedynym, czego w ogóle możesz się spodziewać – zostałaś wykluczona ze wszystkich swoich światów: kieźmarku, rodzinnej czarnej góry, rzepiskiej, kamiennej. m. będzie z tobą, kiedy wyruszysz z niczym i będziesz szła dzień i noc, a może nawet dłużej. nikt nie wie, czy spodziewasz się nowego i wspaniałego świata, który nie wypłuje cię po chwili. możliwe też, że nie przychodzi ci do głowy przestrzeń przypominająca ciasny barak, gorąc bijący od ciał stłoczonych w małym pokoiku, grzęźnięcie w błocie, hałas budowy, planowanie każdej minuty, żeby dać radę, dociągnąć, wytrzymać. nie myślisz też o chaosie narodzin waszego nowego świata. wrzucasz się w niego, bo nie masz innego wyboru.

tutaj, przynajmniej na początku, nikt nie traktuje cię, jakbyś była niechciana, niepotrzebna, nie do zaakceptowania. nawet nie przechodzi ci przez myśl, że jesteś failiem, aberracją. świat nie krzyczy ci nie, chociaż nie jest to równoznaczne z wpadaniem w jego otwarte ramiona. niemniej: jesteś w miąższu świata. twój przydział: jeden pokój. twoja praca: tuczarnia. nie wiadomo, czy oczekujesz zmiany, rozwoju, może myślisz sobie, że tak jest dobrze, a może działasz i nic więcej.

zanim twoja córka dostanie czteropokojowe mieszkanie z balkonem i kuchnią, która nie ma środka, i zanim wraz z nią, jej mężem, którego nie znosiłaś, dwiema wnuczkami i wnukiem, wprowadzisz się na osiedle otoczone łąkami (widok, którego nigdy nie zobaczy twoja prawnuczka), twoje życie, wasze życie będzie ograniczać się do czterech ścian. zniesiecie wiele, tak samo jak wiele znosili inni, którzy cierpliwie wypatrywali szczęścia w przyszłości. ten gest wyprzedzenia teraźniejszości, wyobrażania sobie innego weltu – nic bardziej rozpaczliwego, nic bardziej ludzkiego. to, co was łączy, to ironiczny uśmiech na myśl o haśle, że ciężka praca popłaca, że oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. pracowaliście ciężko, bez względu na nieznośne okoliczności, a nawet nie mogliście mówić o widmie zmiany. zmiana pozostanie dla was chwytem retorycznym, zabawką polityków i polityczek, twoja prawnuczka powie, że w dupie ma taki świat. nie wiadomo jak reszta, w każdym razie wy nigdy nie dacie się nabrać

3.

w tuczarni będzie też pracować twoja córka. nieco później dostanie pracę w sądzie, początkowo będzie wychodzić z domu o świcie, żeby zdążyć na czas, następnie będzie szła do ronda i tam wsiadała w autobus linii 128. widok dookoła was nie zmieni się przez lata, czasami będzie przypominał o wymuszonej ucieczce z natury, przede wszystkim jednak będzie kojarzyć się z głosem dzieci. w waszym mieszkaniu wciąż jest fotografia przedstawiająca córki m. (najmłodsza rodzi się po przeprowadzce), trzy małe dziewczynki stojące w rzędzie, trzy małe dziewczynki, a za nimi nic – tylko polne kwiaty i wysokie trawy. twoja prawnuczka często będzie myśleć o tej estetycznej hybrydzie nowego budownictwa i natury, będzie tęsknić za widokiem, którego nigdy nie doświadczyła.

mniej więcej wtedy, wcześniej lub nieco później, do drzwi mieszkania, w którym teraz żyje twoja wnuczka, jej mąż oraz dwie prawnuczki, zapuka kobieta i powie, pamiętam, jak twoja prababcia robiła na drutach przed blokiem, brała taboret, siadała przed klatką i tak do wieczora robiła serwety, firanki, obrusy. prawnuczka będzie wówczas zastanawiać się, jak nie zapomnieć, jak ocalić wszystko, które tak szybko ucieka. jej mikrokosmos też się zmienił, nie ogląda już z babcią festiwalu don vasyła, a sąsiedzi nie grają już tego, czego słuchały chwilę wcześniej w telewizji (w klatce obok większość mieszkań należała do rodzin romskich). na początku dwudziestego pierwszego wieku najmłodszy zachłysł się już amerykańką, będą rozkładać linoleum, tańczyć breakdance i słuchać rapu z boomboxa. pewnie trafiłyby cię szlag.

twoja prawnuczka załapała się na naturę w formie dość okrojonej, tj. łowienia pokrzyw, polegającego na przywiązaniu spinacza do sznurka, zarzuceniu nim jak wędką na ryby i ciągnięciu aż do wyrwania pokrzywy. raz nawet wpadnie do dziury i zaliczy kąpiel pokrzywową. pomyśli wtedy, że mogłaby mieć różową skórę. do wypadku nikomu się nie przyzna, poczeka aż opuchli-

zna zejdzie i wróci do oglądania kreskówek. jeśli jest właśnie dwa tysiące dziewiętnasty rok, to ostatnie pola, oddalone niecałe dwie minuty od waszego mieszkania, są zabudowywane. zmiany krajobrazu są teraz prędkie, bezczelne, nieznośne; krajobraz zanurza się w betonie. jedyną stałą jest światło, powracające wschody i zachody, wariacje ciepłych barw, czasami monotonia zimnych. najpiękniejsze są zachody smogowe – smog tnie niebo jak nożyce, a każdemu cięciu towarzyszy inna barwa. dzisiaj słońce znowu jest śmiałe, powietrze sprawia wrażenie gęstej zawiesiny, a mieszkania nagrzone są jak piekarniki. prawnuczka mówi sobie: nawet tę męczącą atmosferę zapamiętaj, pamiętaj też o mżawce, o radości pierwszego odsłuchania (twierdzi, że bez muzyki nie potrafi żyć), nie zapomnij o tych kilku euforiach, że cieszyłaś się z ludźmi, że po dziewięciu obrotach na pewno upadniesz, że światło bywa piękne, że jest tyle słów, które grzebią ci we wnętrzościach, że to zwykłe życie, które was łączy – matkę, babkę i prababkę – da się żyć

4.

nie zastanawiasz się nigdy nad tym, jak opisać los, który nie ma siły przebiccia, ani nie jest determinantą wielkiej historii. nie rozważasz też, czy tylko losy pedantycznie zarchiwizowane są warte podjęcia próby opowieści. być może zgodziłabyś się, że luki w życiorysach najlepiej oddają dynamikę pamięci. przecież dla twojej prawnuczki ty, twoja córka, nawet wnuczka, to kilkanaście porwanych historii, zasłyszanych, stanowiących kompilację swojego i nie-swojego. zarówno twoja wnuczka, jak i prawnuczka, zdają sobie sprawę, że nie jesteście, nie jesteście wyjątkiem w zalewie wielkich narracji paranoicznych fetyszystów podręcznikowej chwały – losy wielu nowohucianek krzyżują się z waszymi. bezczelnym byłoby stwierdzenie, że ktoś lepiej od was opanował sztukę życia



5.

dzisiejszy zachód, chłodny, nawet nudny, nie sprzyja poetyzmu, nie uduchawia, jest oczywisty i nijaki. gdybyś spojrzała teraz w twarz swojej wnuczki, córki m., wiedziałabyś dokładnie, jak ją czytać – twoja prawnuczka tego nie wie. myśli prawnuczki krążą wokół was. przypomina jej się, jak pomagała m. wejść po schodach, jak usłyszała krzyk matki, kiedy upadła po raz drugi (pierwszy przespała, nie wiedziała, jak to możliwe) podczas tamtego spaceru, kiedy była już chora i błędnie zdiagnozowana. jak widziała ją po raz ostatni, kiedy pulsowało w niej jeszcze to dziwaczne *élan vital*. jak m. pochwaliła barszcz czerwony swojej córki (okazało się, że zrobiła go z proszku). sięga jeszcze dalej, do wspólnego oglądania strażnika teksasu i telenowel brazylijskich. uśmiecha się, bo przypomina sobie, że najpierw chciała być baletnicą, a później kulturystką (nic nie wyszło).

nagle myśli o końcu.

nikt nie mówił o tym, jak umarłaś, wiadomo jednak, jak wyglądał dzień śmierci m. okazuje się, że wobec śmierci brakuje słów. nawet najzagorzalsza ateistka daruje sobie bezsensowne argumenty, nie rzuci żadnym wytrychem w twarz. w całym domu panuje wówczas cisza, której nie da się znieść. starsza wnuczka m. włącza odkurzacz, żeby zagłuszyć swój płacz, młodsza dowie się o śmierci trzy dni później. stwierdzi, że to nie fair, że jej siostra znała babcię dłużej.

myśli o innych kobietach w jej życiu, których los również zogniskował się w hucie. o babci i prababci od strony ojca, które miały dom tam, gdzie obecnie znajduje się kościół pw. miłosierdzia bożego, o babci i prababci, które zostały wywłaszczone wbrew woli, ponieważ pewnego dnia ktoś przyszedł i powiedział „tutaj stanie kościół”. przypomina się jej relacja babci. mówi: mama hodowała świnię, trzy pieski też mieliśmy, a oni weszli, otworzyli chlew, budy, wszystkie zwierzęta zaczęły uciekać (mieli też kury, indyki, kaczkę, dodaje prawnuczka), do tej pory widzę, jak biegną przez

pola. czasami podziwia to, z jaką konsekwencją pomija się ten wątek w archiwach, jakby nic tam wcześniej nie było, jakby to była przestrzeń wolna od ciężaru historii.

myśli o cygance o najmądrzejszych i najsmutniejszych oczach świata (czasami spotyka ją przed blokiem), o sąsiadce, którą mąż chciał zabić, bo tak. o wszystkich kobietach, o których nikt nie wspomni, nie napisze rozdziału, nie opowie w audycji, o życiu bez puenty, które choć samo ustaje, nie zatrzymuje nas ani na chwilę, nie destabilizuje rzeczywistości; o życiu, którego koniec nic nie zmienia

6.

wszystko to – etycznie wątpliwe. możemy wciskać sobie kit, że oto piszemy o zwykłym życiu, życiu samym w sobie, o ludziach z krwi i kości, że wystawimy życie na ekspozycję, myślimy sobie, jacyśmy szlachetni, jakie nasze wnętrza są piękne; na długo, nierzadko na zawsze, zapominamy, że nawet w obrębie małych historii szukamy skrajności, narracyjnej petardy, odrzucamy wielkich wygranych na rzecz wielkich przegranych, a środek, pulsujące centrum okazuje się zbyt błahe, by znaleźć się w polu widzenia.

a jednak nic piękniejszego, mówi prawnuczka

7.

wasze relacje z dziedzictwem są różne. twojego pozbawiła cię rodzina. może i huta była twoim punktem docelowym. w każdym razie nie pytasz siebie czy rzeczywiście tego chcesz, czy raczej zmusił cię do tego splot policzkujących okoliczności. twoja córka uważa, że decyzyjność stała po twojej stronie i tym samym odwraca

biegun tej historii, twierdzi, że to ty świadomie (i słusznie) odrzuciłaś swoje dziedzictwo. co więcej, dubluje twój gest, umacnia granicę tożsamościową. prawnuczka nie pamięta, żeby kiedykolwiek babcia określiła siebie góralką. twierdzi, że tożsamość babki i prababki ukształtowały i umocniły się właśnie tutaj.

pokolenie twoich wnuczek i prawnuczek otrzymało od czasu coś, czego nigdy nie doceniamy – dystans. i tylko on umożliwił im śmiałe rozdrapywanie, przekraczanie i oswajanie. zdaje się, że oba pokolenia noszą w sobie kryptę i nie chcą uwolnić tych strzępów, ochłapów historii. wiąże je wyrzut, żal, że nie mogły dokonać wyboru, ale nic to, bo dzięki temu łączy was coś jeszcze – ta dumna fraza: jestem nowohucianką

8.

więc zachód, nijaki, jak nie przystało na literaturę, pogłos przejeżdżającego pociągu, hałas nieustannego remontu w bloku naprzeciwko, dźwięki odbijające się od betonowych płyt. te z was, które jeszcze są, wychodzą na balkon i śledzą zachodzące słońce. gdyby to była klatka z filmu, wystarczyłoby dodać sztuczne metafizyczne światło, które wydobydzie i wyeksponuje puentę. ale co to za zakończenie, kiedy twoje prawnuczki właśnie sprzeczą się głośno, a twoja wnuczka patrzy na nie karcącym wzrokiem.

Anu Klik

dyplom mówi: kulturoznawczyni (UJ), ona: nowohucianka z trzema lampasami na czole. Bawi się w widmontologię i szukanie pracy, krytykuje. Prowadzi stronę, która często porasta mchem (pokrzywejwiezy.pl). Najkrócej o sobie: no pasarán i dużo, dużo światła.



To ja pójdę jeszcze na chwilę, dobrze?

Łukasz Gazur

Oczy dwa razy go uratowały. Dla fotografii.

Po raz pierwszy, gdy przekreśliły jego marzenia. Po raz drugi, gdy pozwoliły mu na ucieczkę. Ale po kolei.

Mały Robert Kosieradzki marzy o lataniu. Tak jak jego ojciec – kapitan I Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Dzieciak słucha jego opowieści o bitwie pod Arnhem. Robi wszystko, by być jak on. Dbą o sprawność fizyczną, bierze udział w biegach przełajowych. Gdy w Łodzi, gdzie mieszka z rodziną, idzie na festyn, największą atrakcją jest dla niego wieża spadochronowa. Wszyscy zauważyli, że kilkakrotnie ustawiał się, by z niej skoczyć – także dziennikarz „Głosu Robotniczego”. Obserwuje dzieciaka, w końcu pyta: „Nie boisz się?”. Odpowiedź jest rezolutna: „Gdy się chce być lotnikiem, nie można się bać”.

Z czasem okaże się to symboliczne. Wielokrotnie będzie robił zdjęcia z wieży spadochronowej, już na Łąkach Nowohuckich.

Oczy (nie)dowidzące

Jest takie zdjęcie: Robert Kosieradzki stoi na torach kolejowych w szczerym polu. Udaje, że leci. Jest przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Widać, że nawet wówczas w trzydziestokilkulatku wciąż jeszcze stygnie marzenie o zostaniu lotnikiem.

Niestety, diagnoza każe mu skończyć karierę, nim na dobre ją zaczął. Warunki są nieubłagane: niedowidzi, więc nie może latać. Kupuje

„Vademecum fotografa”, aparat i rusza w teren. To ten pierwszy raz, gdy oczy posłały go w kierunku fotografii.

Do Nowej Huty przeprowadza się wraz z rodziną w 1955 roku, po maturze. Zajmują mieszkanie na osiedlu Centrum A. Duże i jasne. Ale dla Roberta najważniejsze jest małe pomieszczenie – ciasne, ciemne i bez okien. Tam właśnie wywołuje zdjęcia. To jego królestwo: jego ciemnia.

Później, już po ślubie z Marią – żeby uzyskać duże formaty – powiększalnik będzie kładł na płasko i naświetlał papier przez całe ich wspólne mieszkanie. Zdjęcia będzie wywoływał w wannie, bo powiększenia 50x60 centymetrów nie będą mieściły się w kuwetach. Nieraz zaleje sąsiadów. Odbitki będzie brał do ręki i pocierał pojedyncze elementy, by dodatkowo wydobyć je ze zdjęcia.

Adam Gryczyński, znawca nowohuckiej fotografii, zwraca uwagę, że dzięki magicznej formule „woda-plukanie-woda-utrwalacz” zdjęcia Kosieradzkiego nawet po wielu latach nie żółkną i wciąż pozostają wyraziste.

Ale siła jego fotografii tkwi w czym innym.

– To był niezwykle wrażliwy artysta – tłumaczy Gryczyński. – Można mówić choćby o tym, że lubił mocny kontrast albo poprawną rozgrywkę tonalną, ale najważniejsze, że w zdjęciach łączył przeszłość i teraźniejszość. Pokazywał, jak mija czas, jak zmieniają się ludzie. Często, po latach, wracał w to samo miejsce i znów robił tam zdjęcie. Chciał pokazać, jak niepostrzeżenie wszystko się zmieniło. I to dziś ogromna wartość tych fotografii niezależnie od ich technicznej doskonałości.

Jego ojciec zostaje kierownikiem wydziału W-25 w Hucie im. Lenina. A syna posyła na Akademię Górniczo-Hutniczą. Tyle że Robert Kosieradzki jako student Wydziału Elektrycznego kompletnie się nie odnajduje. To nie jego żywioł, więc po prostu nie idzie na jeden z egzaminów. Choć podobno jest przygotowany.

Przed wojskiem chowa się pod ziemią. Przez dziewięć miesięcy pracuje jako górnik dołowy. Gdy przychodzi na komisję wojskową i tak nie można go powołać. Nie przez kopalnię, ale przez oczy. I to jest ten drugi raz, gdy wada wzroku go ratuje.

Alternatywy 4 w kadrze

Kosieradzki idzie w końcu do pracy w Hucie im. Lenina. Kończy wieczorowe studia, ale wciąż pozostaje mu czas na fotografowanie.

– Zwykle robił to po obiedzie – wspomina żona Maria Kosieradzka. – Mówił mi: „To ja pójdę na chwilę, dobrze?”. I zniknął. Czasem na całe godziny.

Chodził po obrzeżach Nowej Huty, łapał miejskie marginesy. To, co innym nie mieściło się w kadrze. Dziś te zdjęcia wyglądają, jakby obiektyw aparatu był kierowany przeciwko systemowi politycznemu. Bo jak inaczej odczytać widok wiadra, do którego szlauchem wlewa się woda, by następnie popłynąć wprost do kanału?

– Myśmy o tym antysystemowym charakterze nigdy nie rozmawiali. Ale mam to samo poczucie. Kiedy widzimy na jego zdjęciach drogę, która nagle się urywa, trudno uciec od tego wrażenia – mówi Adam Gryczyński. – Sam nie sugerował znaczenia swoich fotografii, ale zawsze chciał rozmawiać. Zachęcał do tworzenia interpretacji. Przesłanie, jakie odczyta odbiorca, uważał za najważniejsze.

W jego fotografiach wczoraj tych terenów styka się z dziś, stare wciąż nie chce odejść do przeszłości, mimo że nowe już tu jest. Miasto jest ostatnim namaszczeniem dla wsi, które kiedyś tu istniały. Każę więc patrzeć na sznury z suszącą się bielizną, rozpięte między starymi wierzbami i płot placu budowy.

Pewnego razu reżyser Jerzy Ridan zabiera zdjęcia Kosieradzkiego do Szkoły Filmowej, na Wydział Reżyserii. Pokazuje te fotografie na



roku, na którym był m.in. Jacek Bromski. Zapada cisza. Wtedy podchodzi Henryk Kluba, reżyser, aktor, rektor Filmówki, patrzy na fotografię i mówi: „Tak się powinno pokazywać świat”. Przechodzący obok tych zdjęć Wojciech Jerzy Has, stwierdza: „To mi się podoba. Nic”. Wskazuje przy tym na drogę biegnącą w nieznaną. A może donikąd?

– Wciąż mam przed oczyma zdjęcie autorstwa Kosieradzkiego, gdzie na tle nowohuckiego blokowiska widać uschnięte drzewo. Mamy tę fotografię na klubowych plakatach sprzed wielu lat. To jest ewidentna metafora. Nie wyobrażam sobie, że w epoce propagandy sukcesu można było pokazywać takie zdjęcia – mówi Adam Gryczyński. – To artysta, który w czasach prezentowania przodowników pracy, robił zdjęcia samotnych wierzb – tłumaczy.

Migawka ze ślubu Stanisława Krupy pojechała na konkurs fotograficzny w Berlinie jako „Ślub hutnika”. Czwarta nagroda wędruje do Nowej Huty.

Często jego modelką jest żona. Na konkurs „Kobieta” trafia zdjęcie kuchenki gazowej z jej przylepionym portretem. Na Wawelu z kolei fotograf każe jej pozować z głowami wawelskimi w tle. Sam kładzie się na podłodze. Podobno Maria Kosieradzka nie była zachwycona, bo wywoływali sensację wśród zwiedzających. To zdjęcie pójdzie na konkurs „Wawel w fotografii artystycznej”. I dostanie pierwszą nagrodę.

To właśnie fotografia stała u początku ich małżeństwa. Kosieradzki powiedział koledze z roku, że chciałby zrobić zdjęcia jego siostrze – Marii. Pierwszą sesję zrobił jej w Grębałowie, z wierzbami w tle. Później wielokrotnie pomagała mu wywoływać zdjęcia. Była też pierwszym „okiem widza” – mimo że zawsze powtarzała „nie znam się przecież”. „A ja się nie pytam, czy się znasz, tylko które lepsze” – odpowiadał.

W sumie z trzydziestu konkursów zagranicznych pierwsze miejsce podium Kosieradzki zdobędzie trzynastą raz.

Fotograf z „sedesami”

Według wielu jest człowiekiem z poczuciem humoru. Jeszcze z czasów studiów jego koledzy wspominają anegdotę, gdy zarządził, że będą manifestować na placu Centralnym. Chodzili wokół latarni, śpiewając „Tamtadadam tadadam”.

Zawsze też myli imiona. Nie wiadomo, dlaczego do pracującej w Nowohuckim Centrum Kultury pani Ani uparcie mówił Genowefa.

Edward Nowak, wiele lat później wiceminister, wspomina, jak na przełomie roku 1969 i 1970 idzie do pracy w nowohuckim zakładzie. Jego szefem zostaje właśnie Robert Kosieradzki, od którego otrzymuje swoje pierwsze zadanie: wyszlifowanie dużego gwoźdźca. Po zmianie przychodzi do szefa. Ale ten mówi mu, że trzeba jeszcze nad gwoździem popracować. I tak przez kilkanaście dni. Wreszcie gwoździec został odpowiednio oszlifowany. Zaciekawiony Nowak pyta, czemu to posłuży. W odpowiedzi słyszy, że to prezent dla kolegi Kosieradzkiego. Wystarczy go pozłocić i oddać do grawera, bo – jak twierdzi Kosieradzki – „prezent musi być drogi i niepraktyczny”.

Reżyser Jerzy Ridan spotyka się z Kosieradzkim w Stylowej. Przychodzi zawsze punktualnie, w południe. Jego rozmówca za każdym razem siedzi już przy stoliku. Powitanie przebiega według tego samego scenariusza:

– Co słyhać? – pyta fotograf.

– Nic – odpowiada reżyser, na co słyszy:

– Pięknie.

Na początku lat siedemdziesiątych Robert Kosieradzki rezygnuje z pracy w kombinacie. Zatrudnia się jako fotograf w Miejskim Biurze Projektów. Robi dokumentację dla architektów, zdjęcia ślubne dla znajomych, zabytki dla konserwatorów i nietypowe użębenie dla

Akademii Medycznej. Sprzedaje też fotografie do gazet. Ładują na łamach „Polityki” i „Tygodnika Powszechnego”.

W 1988 roku w NCK przygotowywana jest wystawa. Artystów: kilkudziesięciu. Zdjęć: około stu. Kosieradzki po kilkunastu minutach proponuje układ wystawy. Zaczyna się dyskusja, niemal wojna. Każdy chce najlepiej wyeksponować swoje zdjęcie. Po dwóch godzinach wzajemnych przekonywań wreszcie udaje się ułożyć wystawę.

– Dokładnie tak, jak ją zaproponował Kosieradzki – wspomina Adam Gryczyński.

Gdy zobaczy czyjeś dobre zdjęcia w NCK, zapalają mu się oczy. Idzie do szafki, wyjmuje z paczki DS-ów – zwanych „sedesami” – jednego papierosa i zapala.

Pali w ukryciu. Tak, żeby nie wiedziała o tym żona. Bo ma problemy z sercem, przeszedł nawet operację, o której przypominała szrama na jego piersi.

– Ale tym jednym papierosem dziennie się rozkoszował – mówi Gryczyński.

Kosieradzki ma pięćdziesiąt trzy lata, gdy 6 lipca 1990 roku umiera na zawał serca.

Łukasz Gazur

absolwent UJ, krytyk sztuki i teatru, dramaturg. Kierownik działu kultury w „Dzienniku Polskim” i „Gazecie Krakowskiej”. Publikował na łamach m.in. „Przekroju”, „Tygodnika Powszechnego”, „Wprost”. Wielbiciel spektakli Krzysztofa Warlikowskiego, Krystiana Lupy, Michała Borczucha oraz dzieł Tino Sehgała i Anisha Kapoora. Czterokrotnie wyróżniony Nagrodą Dziennikarzy Małopolski (2014, 2016, 2017 i 2018). Współautor tekstów w zbiorze *Małopolska. Znaki w przestrzeni*. Dramaturg w spektaklu *Borderline Queen* w reżyserii Macieja „Gąsia” Gośniowskiego w Litewskim Narodowym Teatrze Dramatycznym w Wilnie.

Obwodnica

Kinga Raab

Krakowiakiem jedziemy na Wiadukty.

Cienista, Wańkowicza, Wiadukty.

– Którędy do Urzędu Pracy? – pytam wysiadającą z tramwaju kobietę.

– W prawo. Przez wydupczyska. Pierdolę taką drogę – częstuje mnie papierosem. – Z Bielan tu przyjeżdżam. No gdzie, kurwa. Ludzie, za przeproszeniem, ze wsi mają urząd Na Stawach, a my z Krakowa mamy wyjebane na Hucie. Pracy nie szukam. W dupie to mam. Płacę, to siedzę na bezrobociu. Czteryście złotych mi płacą. Przesnąć płacić, to będę szukać. Ofert niby jest – mówi do mnie jeszcze przed budynkiem i idzie po zasilek, a ja do rejestracji.

Jest piątek. Przede mną czternaście osób oczekujących. Pobieram ostatni dziś numerki. Ktoś zażartuje, że skończyła się praca, ktoś inny przytaknie. W poczekalni oglądamy „W11”. Na stole operacyjnym, mimo reanimacji, umiera człowiek. W przerwie na reklamy wychodzę na pole. Prywatny parking zapełniają kolejne samochody. Godzina postojowa kosztuje 2,50 zł. Bilet dziewięćdziesięciminutowy w dwie strony – 12 zł. To niewiele mniej niż minimalna stawka godzinowa.

– Gdzie ja bym do Krakowa jeździła do pracy. Tu mam siedem minut z buta i na popołudnie. Matka chodzi na nocki – mówi Aga, nowohucianka, która zaczyna dziś pracę sprzątaczką w urzędzie. – Popilnuje mi pani chwilę dziecka? Po Hucie jeżdżą wozy i kradną dzieci. Przez następną godzinę zostają na ławce z Weroniką.

– A pani kim chciałaby zostać? – zaczepia mnie dziewczynka. – Bo ja policjantką.

Po lewej stronie budynku Urzędu Pracy leży sterta desek, blachy, szmaty, zdezelowany sprzęt, obrazki Matki Boskiej, zniszczona porcelana, a pod drzewem gra radio, podłączone do agregatu z prądem. Gdy podchodzę bliżej, zza szopy przypominającej szklarnię wylania się starszy mężczyzna w dresowej bluzie i spodniach w kantkę.

– Co panią interesuje? – pyta, myjąc w misce lusterko samochodowe. – To są resztki. Większość wywozłem na Rybitwy. Wyprzedaj jutro i w niedzielę. Mam dużo ładnego i ciekawego towaru... i porcelana i... wszelkiego rodzaju meble... Ale jakby pani chciała jakieś kufry. Kufry to mam tutaj. Mam też wieszaki takie stare, pająki, jakby pani chciała. Niech pani zerknie.

– Radyjko pan tu ma.

– Mam tutaj ładne szafki. Fotel mam – wskazuje na ustawione pod ogrodzeniem meble. – Od wujka ze wsi. Jeden jest taki chyba z XIX wieku. Skórą obity. Bardzo stary, taki do renowacji. Także tutaj kufry by były trzy. Wieszaki, te pająki takie drewniane. Takie, wie pani, takie... Kojarzy pani? No i coś tam... Stare radia, klawiatury, takie różne rzeczy. Tak jak mówię, w przyczepce mam kilka rzeczy fajnych. One jutro będą na Rybitwach.

– O! To jest fajne, z tymi lustrami. Nie wiem, co to jest.

– Widzi pani, jaka szafka jest. Budę dzisiaj rozebrałem. Te wszystkie deski są z tej budy.

– A to czemu ją pan rozebrał?

– A bo ja muszę opuścić ten teren.

– Pan opuszcza ten teren?

– Tak.

– Czemu?

– Bo tu będzie obwodnica.

– Droga ma tędy iść?

– To jest teren huty i muszą mieć teren czysty. Te garaże, te budynki to wszystko idzie do rozbiórki. Za kilka lat będzie tutaj północna obwodnica Krakowa.

– A to pan ten teren dzierżawił?

– Dzierżawiłem od ROLBUD-u, który dzierżawił od Mittala. No i dali mi pisemko. Ja tu siedziałem, proszę pani, ponad trzydzieści lat. I każą mi się wynieść. To wszystko będzie na Rybitwach. Widzi pani, daszek musiałem rozebrać.

– A to pan sam to wszystko robił?

– No... koledzy mi pomogli. Wywozłem na lamusownię takie ładne rzeczy. Zbierało się, kupowało się przez tyle lat, bo ja za wszystko musiałem zapłacić. I to wszystko poszło do wora. Wziąłem jednego klarneta bez pojęcia. Bo ten drugi to jeszcze miał jakieś pojęcie, mówił: to się przyda, tamto się przyda. A ten pierwszy wyrzucał wszystko. Jak później popatrzyłem do worka, co tam jest... Serce pękło. Trzymałem te wszystkie sprzęty z przywiązania, ale teraz doszedłem do wniosku, że nie warto. Dzieci – żadnego zainteresowania, wnuczki – to samo. Mam szóstkę dzieci, dwanaścioro wnucząt, troje prawnuków i ani jedno nie jest zainteresowane. Czyli, że co? Nikogo to już nie interesuje. A teraz tyle tygodni spędziłem przy rozbiórce. Najgorzej było z psem. Miałem tutaj pieska. Saba. Trzynaście lat. Wczoraj dałem ją koledze. Przyszedł po nią, wziął na smycz, bez kagańca. Poszedł na tramwaj i ich nie wpuścili. Kazali wyjść, bo bez kagańca. W drugim tramwaju też kazali wyjść. Nad zalew poszli. Puścił ją ze smyczy. Uciekła i wróciła. Przyzwyczaiła się. To był jej dom. Trzynaście lat spędziła przy tej budzie. Do domu nie wezmę psa, bo mieszkam na trzecim piętrze, a ona jest taka zapatrzona, ona do samochodu nie wejdzie. Na Hucie mieszkam tutaj



- niedaleko – opowiada, ładując towar do bagażnika starego kombi.
- Panu kazali się wynieść, pan dostaje coś w zamian?
- Nic nie dostaję w zamian. Wyprowadzić się kazali i koniec.
- A pan ma jakąś działalność?
- Mam siedemdziesiąt dwa lata. Na emeryturze jestem, ale co to jest za emerytura. W kombinacie tyle lat przepracowanych.
- I pan sobie tutaj dorabiał.
- Jakie to dorabianie jest, to dokładanie jest.
- Dołożył pan do tego?
- Pewnie, jak coś się kupiło, to za wszystko trzeba było zapłacić. A teraz jak dostałem zawiadomienie, że trzeba to opuścić – wszystko wyrzucić.
- A kiedy to zawiadomienie przyszło?
- Trzy miesiące temu.
- A ludzie, którzy przychodzili do urzędu, to kupowali coś u pana? Był ruch?
- A skąd, teraz to w ogóle ruchu nie ma. Nie ma ani jednej osoby. Ludzie już nie kupują takich rzeczy. Teraz wszystko w internecie. Przychodzą do mnie handlowcy i mówią: weźmiemy na internet. Ja nie będę z nimi współpracować. On to wystawi se na internet, poda cenę jaką tam chce, a mi da jakieś grosze.
- Ale jak było wcześniej?
- Zawsze ktoś tam przyszedł, coś przyniósł, bo to chodzą po tych śmietnikach. Nie mieli jakichś rewelacyjnych rzeczy. Bo jak ktoś miał coś ciekawego, to do niego mówiłem: proszę mi dowód dać

– nie chciałem mieć problemów z policją. Na to musiałem uważać. Ja takich rzeczy nie brałem. Nie chcę mieć kłopotów. A inni mieli pierdoły. Takie szklaneczki, miski, kubeczki. Jak ludzie przychodzili do urzędu pracy, to przynosili mi szklaneczki – tłumaczy, dociskając klapę bagażnika.

Kiedyś stała tu okazała buda, wyposażona w regały, a na elewacji wisiał wielki banner z napisem „Europa bez granic” i szyld „Starocie zobacz”. Za płótnem wykonanym ze starych nart mieściło się kilka dodatkowych miejsc parkingowych, a wejście zdobiły wiklinowe kosze z kwiatami i reprodukcje pejzaży.

– A na co mi to teraz. Teraz tu będzie szła droga – macha ręką i wsiada do samochodu. – Jedziemy się kąpać – rzuca na odchodne.

Wracam do poczekalni w podziemiach budynku. Czytam hasła na plakatach. „Republika wrażliwości”, „Wyprzedzić smutek”. Na ekranach wyświetla się mój numer. W okienku rejestruję się jako osoba poszukująca pracy.

– Na Hutę mam bezpośredni, więc nie narzekam. Na końcu świata jesteśmy. Były plany, żeby nas przenieść, ale nagle ucichły. Tutaj ma iść droga. My tego jakoś nie widzimy – mówi mi pracowniczka rejestracji. Wychodząc, spotykam kobietę, która poczęstowała mnie papierosem. W kiosku kupuję paczkę i oddaję jej fajkę.

Jedziemy się kąpać. Wiadukty, Wańkowicza, Cienista.

Kinga Raab

autorka reportaży z Google Street View. Publikowała na łamach „Polityki” i czasopisma „Ha!art”.

Szpinak, chałupa i garść folkloru

Natalia Grygny

„Ahoj! Szpinak jestem”

Jest taka chałupa, którą – jak wieść niesie – znają niemal wszyscy nowohucianie. Jej właściciel dawno temu zaczął gromadzić przedmioty, o których współczesny świat już prawie zapomniał.

- Ahoj! Szpinak jestem. Kawy?
- Tak, poproszę.
- Jaką? Czarna, biała, cappuccino, macchiato... Tu można grymasić.
- Niech będzie biała. Dziękuję.
- Nie dziękuję.

Siadamy przy stole ustawionym na środku chałupy. Wzrok przykuwają liczne półki uginające się pod ciężarem książek. Zagadkowo milczą powieszona u sufitu dwa anioły (akurat nie te bieszczadzkie), a z fotografii na ścianie spoglądają bacznie dwie kobiety – Helena Poznańska z Koźmic i Maria Molitoris „Rejuśka” z Kacwina.

- One są dla mnie jak dwie Matki Boskie, opiekunki chałupy i prowadzonych w niej zajęć – wskazuje na portrety Szpinak.

Tu i ówdzie rzucają się w oczy zagadkowe narzędzia, uzupełniające rozgardiasz ceramiczne i gliniane garnki, rogalki, maselnice, sierpy, kosy, zydelki, szuflady, koromysła, beczki na kiszoną kapustę, makatki (w kolekcji znalazło się ich ponad czterysta), święte obrazy, wiklinowe kosze, szafa pełna kieliszków czy lampy naftowe. Wszyst-

ko w liczbie: sztuk kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt. Ile z tych rzeczy musi się jeszcze kryć w szufladach czy innych zakamarkach chałupy?

A, znalazła się jeszcze trombita! Podobno z Żywiecczyzny. I tak mnie, góralkę z Beskidu Żywieckiego, ogarnia nie lada zdziwienie. Trombita góralska? W Nowej Hucie?

Nie, nie jesteśmy w żadnym skansenie. Chałupa u Szpinaka zajmuje jedno z pomieszczeń Nowohuckiego Centrum Kultury.

– No tak, mam tu naprawdę dużo rzeczy – rozgląda się wokół Szpinak. – Nie mieści się wszystko tutaj, przydałoby się nowe lokum, więc tak szukam i szukam w zasadzie od lat. Miałem różne pomysły, nawet myślałem o kupnie pewnego młyna, ale plan nie wypalił.

Zanim była Nowa Huta

Szpinak, a właściwie Jerzy Kujawski, na świat przyszedł w 1950 roku na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Przez pierwsze dwa lata życia mieszkał w Lubawce u podnóża Gór Kruczych w Sudetach Środkowych.

– Po niemiecku Liebau. Byłem tam niedawno. Miasteczko piękne, zadbane, widać że kobita tam rządzi [burmistrzem miasta od 2014 roku jest Ewa Kocemba – przyp. aut.]. Dawniej to był trzeci bawełniany ośrodek w Polsce, a teraz się zmieniło. Chińszczyznę sprowadzamy. Ale ładnie tam, jest skocznia narciarska, są baseny. Wciąż żyje pewien ponad dziewięćdziesięciolatek, który pamięta, jak byłem dwulatkiem! – zapewnia. – Chałupa, w której się urodziłem, miała trzy piętra. Mieszkał w niej Niemiec, który miał wytwórnię konserw i wędlin. Pamiętam czarno-białą podłogę, która nadal w tym domu jest.

W 1953 roku rodzice postanowili przenieść się do nowo powstałego „idealnego miasta”, zwanego Nową Hutą.

Od Centralnego do Stalowego

Tuż po przeprowadzce rodzina Kujawskich zamieszkała przy placu Centralnym.

– W zasadzie to było moje szkolne podwórko, pełne piasku i smoły. Gdy wracałem po dniu takiej zabawy cały ubabrany, w domu była niezła awantura – wspomina.

A później było już os. Stalowe, dawniej A11.

– Na podwórku mieliśmy własny basenik, piaskownicę, graliśmy w gry dziecięce. W beki, koła, państwa-miasta, klasy czy zośkę.

W Hucie skończył szkołę podstawową nr 85. Później zaczęła się przygoda z harcerstwem, które – jak sam przyznaje – ukierunkowało go. Najpierw zuchy „Bolkowe Woje”, później działalność w 206. Krakowskiej Drużynie Harcerskiej w zastępie „Lotnicy Modelarze”. Na tym polu osiągnął wszystko – poprzez funkcje w Związku Harcerstwa Polskiego, do najwyższego stopnia harcmistrza i komendanta hufca ZHP w Nowej Hucie.

Zanim w 2011 roku zostanie Kawalerem Orderu Uśmiechu i z tej okazji wyprawi imprezę dla trzystu dzieci (będzie pięć czekoladowych tortów o wadze dwudziestu kilogramów każdy!), już w 1974 roku harcerze w Gołkowicach uhonorują go własnym orderem uśmiechu.

Widok z kopca

– Później był „elektryk” [Zespół Szkół Elektrycznych nr 2 na os. Szkolnym – przyp. aut.] i Akademia Wychowania Fizycznego. Cudownie wspominam cystersów i religię z ks. Korneliuszem Jackie-wiczem i ks. Hubertem – wspomina.

Ale może nawet więcej o dzieciństwie i młodości Szpinaka w Nowej Hucie mówią małe radości, które utrwaliły się w jego pamięci niczym pojedyncze kadry. To klejenie chorągiewek na motocross pod kierownictwem dyrektora Gajewskiego, to występ na konkursie recytatorskim w roli Janka Wędrowniczka Marii Konopnickiej, to kinowy pokaz filmu „Krzyżacy”. To kopiec Wandy, to Dłubnia, to Lasek Mogiński.

– Powiedzmy, że były to moje pierwsze nastoletnie wycieczki – puszcza oko. – Aha, jeszcze żużel i Wanda Kraków. Od najdawniejszych lat był jeszcze Hutnik i w ogóle sport. Kiedyś Nowa Huta miała sześć pierwszych lig, teraz jest bryndza – dodaje z nostalgią.

Żeby pokazać liczbę zawodów, którymi parął się w swoim życiu, wyciąga drewnianą deskę kuchenną. Na niej wypisane kolejno: nauczyciel, elektronik, szklarz, wodzirej, spiker, kucharz, sprzedawca, akustyk, sprzętacz, kierowca, ratownik, drukarz. Poniżej, drobniejszymi literami widnieje słowo „inne”, a pod nim: kronikarz (Nowa Huta, ZHP, NCK, animator).

W Nowohuckim Centrum Kultury pracuje od ponad trzydziestu lat.

– Trafiłem tu przez przypadek. Szedłem sobie przez plac Centralny i spotkałem pierwszego dyrektora tego miejsca, pana Leona Lijowskiego. Zналиśmy się wcześniej z harcerskich eskapad. Powiedział, że powstało nowe centrum kultury i żebym przyszedł do pracy. I tak zostałem kierownikiem artystycznym. A później udało się tu stworzyć tę moją chałupę – opowiada.

Jak zostać „Szpinakiem”

Jego fascynacja folklorem zaczęła się od harcerstwa. Biwaki, obozy, nocne gry czy zwiady na Spiszu i Podhalu odbywały się zazwyczaj w pobliżu wsi.

– Zainteresowałem się ludźmi, bo mieszkali w trochę innych warunkach. Może troszkę biedniej, ale na ich twarzach zawsze widniały uśmiech i moc.

Wędrował od chaty do chaty i dostawał różne narzędzia. Z czasem zaczęło ich przybywać, więc Kujawski postanowił pokazać je innym. Kolekcję zasilają też przedmioty, które ludzie sami mu przynosili

– Był czas, kiedy uczyłem się gwary góralskiej – spiskiej. Podobno nieźle mi szło! Jestem w końcu znawcą dwustu czterdziestu góralskich kawałów – śmieje się. – Jestem też specem od „chłopskiego jedzenia”.

I tak z połączenia osobistych fascynacji i chęci ocalenia przed zapomnieniem ludowego rękodzieła powstała Chałupa u Szpinaka.

– Dlaczego Szpinak? Na obozie do jedzenia często był szpinak, a ja akurat chodziłem ubrany na zielono. Ksywy miałem różne, ale akurat „Szpinak” przyłgnał do mnie. Kiedyś do NCK-u przyszła pewna pani i mówi, że do pana Szpinaka. A że mieliśmy nowego portiera, powiedział jej, że taki tu nie pracuje – śmieje się.

Lekcja folk(lor)u. Na ostrzu siekiery

W chałupie – jednym z pomieszczeń budynku – prowadzi warsztaty dla dzieci i dorosłych. O folklorze i nie tylko. Wspólne pieczenie chleba, ostrzenie siekiery, mielenie w żarnach, praca w starej kuchni, historia garnka, zagadki ludowe, polskie przysłowia – w taki sposób pan Jurek przekazuje historie zakłete w gromadzonych przedmiotach.

– Miła panno, to jak się u was na to mówi? Mątewka, fyrlok, kwirlejka, rogalka...



– U nas w gwarze rogołka – odpowiadam, kiedy wspólnie buszujemy wśród pól w poszukiwaniu coraz ciekawszych eksponatów.

W chałupie można też poznać smaki wiejskiej kuchni. Ciekawość podniebienia ci młodszy i ci starszy mogą zaspokoić, kosztując wiejskiego chleba, smalcu, powideł, oscypka, kwasu chlebowego, podpiwku czy pischingera.

– Tak sobie myślę, że muzeum bym z tego robić nie chciał. Bo prawda taka, że dzieci raczej chodzą do muzeum jak za karę. Stoją, ktoś im o pług opowiada, a dziecko może już nie wie, jak koń wygląda! Ale dobrze, bo teraz sporo muzeów uczy metodą zabawową, cały czas coś się dzieje – ocenia.

– To co z tą przeprowadzką? Jak później chałupa by wyglądała?

– Temat przeprowadzki wciąż jest. Ale jak się do jakiejś starej chałupy przeniosę, to dzieci tam wpuścić nie wolno. Bo są badania grzybicze i tak dalej. Może znajdzie się jakiś sponsor, furiat, który pomoże? – zastanawia się Szpinak. – Jestem w stanie pokazać rzecz na każdą literę. Jakby mi przyszło to wszystko opisać... No dużo tego, dużo, wszystko jest tak ściśnięte. Ale w muzeum nie można byłoby tak tego wszystkiego prezentować. Wiem, że niektórzy koledzy muzealnicy mi tego zazdroszczą – podkreśla z dumą.

Samotrzeć

– Zastanawiałem się jak to nasze spotkanie zatytułować. Znalazłem słowo „samotrzeć” – zmienia temat.

Samotrzeć to staropolski liczebnik zbiorowy, który wskazuje na trzy osoby – „jeden z dwoma” czy też „we trójkę”. Aby tej definicji stało się zadość, dołącza do nas pan Ryszard Pabisz. Przysłuchuje się naszej rozmowie i co jakiś czas śmieje się z opowieści przyjaciela z harcerstwa.

Pan Jurek podkreśla, że sam w życiu do niczego by nie doszedł.

– Zawsze miałem szczęście do dobrych współpracowników. Od początku, czy to w harcerstwie, czy w innych moich działaniach. Na uroczystość przyznania Orderu Uśmiechu zaprosiłem dwieście dziewięćdziesiąt trzy osoby, a ich nazwiska wypisałem na specjalnym zaproszeniu. Wśród nich są nawet moi obecni wrogowie, bo na pewnym etapie życia mi pomogli. Jedna z osób napisała mi kiedyś w liście: „Jurek, jesteś wielki dla mnie, ale dalej jesteś ch**** złamanym” – śmieje się.

Z kroniki „Szpinaka”

„Panie Jurku! Jestem tu pierwszy raz. Słyszałam o Pana działalności, ale to co zobaczyłam wprawiło mnie w zdumienie, że jest to na taką skalę (...). To jest pasja, która edukuje młode pokolenie, a dla starszych jest wspomnieniem młodości. Życzę Panu, aby ta pasja nigdy nie ustała, żeby znaleźli się sponsorzy, żeby Pana wesprzeć i pomóc dalej działać”.

„Dziękujemy za pełne emocji, zabaw, konkursów zajęcia. Spotkanie było prowadzone w ciekawy, oryginalny sposób. Zabawa i wiedza to jest to!”

„Kochany druhu Jurku! Tak trzymać! (...) Bądź jaki jesteś, otwarty dla ludzi – sercem oddany dzieciom. Dziękuję za piękny udany dzień w Gimnazjum nr 49 pod Twoją batutą. Czuwajmy – życzę Ci takiej weny do 100 lat przynajmniej”.

„Order Uśmiechu dla Pana Szpinaka jest w pełni zasłużony. Również przyznajemy”.

„W dniu 22.02.2009 zawitaliśmy do Chałupy u Szpinaka po raz pierwszy, ale wiemy, że nie ostatni”.

– I jak, przychodzą po raz kolejny? – zastanawiam się.

– A pewnie!

Kronika pełna jest podobnych wpisów. Ponoć są w niej również negatywne, ale tym razem nie mogliśmy znaleźć żadnego.

Wydział gier i zabaw

Kiedy dzieci przychodzą w odwiedziny do Szpinaka, ten dzieli je na mieszkańców dwóch wiosek. Później następuje wybór sołtysa i zaczyna się cała zabawa. Przyznaje, że jako spec od „rekreacyjno-zabawowych” imprez wymyślił sporo andrzejkowych wróżb. Ale takich bardziej, powiedzmy, nowoczesnych.

– Wszystkie dostosowane do wieku dzieci – zaznacza. – W końcu nie można młodej dziewczynie wywróżyć, że zostanie starą panną czy pójdzie do zakonu! Dlatego młodszy mogą się dowiedzieć, że pójdą w pierwszej parze w przedszkolu, inni że się zakochają. Oprócz tego są też umieszczone w garnku monety z różnych krajów. Każdy losuje i wróży sobie, dokąd kiedyś pojedzie. Taka zabawa, nad którą czuwa dobry duch św. Andrzeja – mówi.

Po warsztatach każdy dostaje drewnianą łyżkę z wypisanym imieniem i słowami: „jedz” i „lub” Szpinak. Z tym też wiąże się pewne zadanie: dziewczęta mają na noc włożyć ją pod poduszkę, natomiast chłopcy dostają polecenie uprania swoich ubrań.

– Jedna pani w kronice napisała, że klasy czwarte mają przyjść na lekcję do Szpinaka ze względu na aspekt wychowawczy – mówi z dumą. – Dzieciom się tu podoba, wchodzi się trochę jak do piwnicy, ale na ogół robi wrażenie. Choć nie wszystkim estetyka chałupy pasuje. Pamiętam, jak raz jedna dziewczynka powiedziała, że tu jest jeden wielki bałagan. Estetka – uśmiecha się. – Ale ja w tym bałaganie się odnajduję. Gdyby ktoś mi tu porządek zrobił, to chyba z miesiąc bym się nie odkopał.

Historia jednego zdjęcia

Jak się okazuje, ten artystyczny nieład panuje tylko w samej chałupie.

– W domu nie mam praktycznie niczego. W jednym z pokoi nie ma firanek, są tylko kwiaty. Na ścianie wisi zdjęcie, które zrobiłem we wrześniu 1993 roku z moim przyjacielem, fotografem Adamem Gryczyńskim na Spiszu – pokazuje czarno-białą kopię fotografii. – Ten mężczyzna wygląda jak z Azerbejdżanu, prawda? Ale fotografia była robiona w Polsce, nie w innym kraju. To było w wiosce Maniowa, zatopionej później pod Jezioro Czorsztyńskie, a ten człowiek idzie po niezalanym jeszcze dnie. Idzie i się uśmiecha. Wiem, że nadal żyje i ma ponad dziewięćdziesiąt lat, mieszka w tych okolicach. Lepszego zdjęcia nigdy później nie zrobiłem.

Zdjęcie powstało podczas pleneru fotograficznego „Jesień na Spiszu”, odbywającego się na zamku w Niedzicy. Kujawski i Gryczyński w poszukiwaniu tematów prawie codziennie robili piesze wycieczki lub samochodowe wycieczki do pobliskich wiosek – Kacwina, Trybsza, Falsztyna, Łapszanki. Jeździli też na Przełom Białki i do Krempach.

– Trafiliśmy także do Czorsztyna i Starych Maniów, gdzie niegdyś było wiele parterowych domów, szkoła, remiza i cmentarz – wspomina Adam Gryczyński. – Kościół pw. św. Mikołaja jeszcze stał, wyburzono go rok później. Kręciliśmy się po okolicy późnym popołudniem, kiedy nisko zawieszony nad horyzontem słońce daje plastyczne oświetlenie. Chcieliśmy przed zalaniem zbiornika uchwycić pozostałości po dotychczasowej osadzie, jak fundamenty, pnie powalonych drzew, dawne drogi, pozostałości sprzętów gospodarczych.

Pochłonięci utrwalaniem zrujnowanego budową zapory krajobrazu, dostrzegli na ścieżce mężczyznę powracającego z pracy w polu.



– Miał na głowie ni to czapkę, ni szalik, z daleka nakrycie to wyglądało niczym turban. Jego śniada cera od przebywania na wietrze, słońcu, deszczu i mrozie, przymrużone oczy oraz łagodny uśmiech sprawiały, że kiedy tak na chwilę przystanął, wyglądał jak współczesny nomada. Sterany ciężką pracą ubiór tylko potęgował niesamowite wrażenie. Z początku patrzyliśmy na siebie bez słów. Zobaczyliśmy bowiem postać magicznie przeniesioną ze stron magazynu „National Geographic” wprost w swoje, podhalańskie realia.

Szpinak stał dość blisko i, jak przyznaje Gryczyński, zachował się jak rasowy fotoreporter.

– Nie przegapił tematu, światła ani „decydującego momentu”. Dobrze ustawił parametry analogowego aparatu Chinon, nacisnął spust migawki i... zrobił fantastyczne zdjęcie. Dziś Stare Maniowy przykrywa woda.

Chleb

Obowiązkowym punktem programu w chałupie jest praca z różnymi narzędziami i przygotowanie prostych, tradycyjnych potraw. W menu znajdują się chleb ze smalcem, grzanki z czosnkiem, dżemy, oscypki.

Szpinak stworzył prawdziwy skarbiec narzędzi związanych z powstawaniem chleba – w sumie komplet ponad trzydziestu dwóch, w tym żarna i sierpy.

– Wychodząc z chałupy, każdy dostaje chleb. Raz koleżanka zadzwoniła do mnie, że przez plac Centralny maszeruje grupa dzieci. Każde z chlebem w ręce, więc pewnie wyszły ode mnie – opowiada. – Daję im do domu takie zadanie, że pierwszą piętę ma uciąć mama.

W zajęciach bierze udział trzydziścioro dzieciaków.

– Ubierają fartuszki, z których jeden ma ze sto dwadzieścia lat. Wystawiamy tyle rekwizytów, ilu uczestników. Później dzieci ucierają jaja, ubijają pianę, rozpoznają pieprz, cynamon. Mówię im: Kochani, kuchnia lubi ciszę. Jeśli ktoś rozrabia, mamy umowę. Dziecko mówi: „Szpinak nudzi mi się, chcę wyjść na korytarz”. Więc wychodzi. Zdarzyło mi się czasami, że ktoś źle się zachowywał. Prosiłem, żeby wyszedł. Jestem jajcarz, ale chamstwa nie znoszę!

Ciężar wiedzy

Oprócz narzędzi uwagę w chałupie przyciągają też książki.

– Zgadnij, ile mam wydań „Pana Tadeusza”.

– Ponad dziesięć?

– Ponad siedemdziesiąt!

Pokazuje kolejną książkę: – Zobacz, kupiłem ostatnio. Ślubowałem, że ostatnią w życiu, ale na okładce był ten widelec. Przykuł moją uwagę. Musiałem kupić. Ale jak zajrzysz, to rewelacja jest! Facet zaczynał jako kuchcik w Szkocji, a teraz ma niezłą knajpę w Warszawie.

Chałupa dla wszystkich stoi otworem – chętni mogą skorzystać z tematycznej biblioteki, w której znajdują się zarówno książki poświęcone kulinariom czy historii Nowej Huty, jak i publikacje o folklorystyce czy tradycjach ludowych. Naprawdę trudno policzyć, ile ich dokładnie jest.

Szpinak kontynuuje: – Miałem kiedyś książkę Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303” z autografem autora. Akurat uczestnikami zajęć w chałupie były dzieci z zespołem Aspergera. Niesamowite, że każde z nich ma swoją dziedzinę, którą się interesuje i świetnie się w niej orientuje. Podszedł do mnie jeden chłopak, wyciągnął z pół-

ki właśnie książkę Fiedlera i powiedział, że interesuje się II wojną światową, a zwłaszcza lotnictwem. Zapytałem, czy wie, ile samolotów myśliwskich „hurricane” zrobili Brytyjczycy podczas wojny. Odpowiedział: „mówią, że z trzydzieści pięć tysięcy”. Napisałem dedykację i powiedziałem, że książka jest jego. Miała autograf Fiedlera, więc bez problemu bym ją sprzedał, ale ten chłopak zrobił na mnie ogromne wrażenie! Wieczorem zadzwonił do mnie jego ojciec i zapytał, skąd jego syn ma tę książkę. Pograttulowałem mu syna i powiedziałem, że jeśli kiedyś znowu pojawi się u mnie, to dam mu wszystkie książki lotnicze, jakie tutaj mam – uśmiecha się Szpinak.

Z Huty do Chochołowa?

Chociaż związany z Nową Hutą, marzy mu się, by kiedyś zamieszkać w chacie z bali.

– Myślałem kiedyś, żeby wynieść się i zamieszkać w takim domu – przyznaje. – W Chochołowie chat z bali jest pełno.

Na przeprowadzkę jednak raczej się nie zanoszą. Na razie Jerzy Kujawski mówi, że jest na „historycznym etapie odkopywania przeszłości Nowej Huty”. Z jednego z albumów wyciąga czarno-białe fotografie z różnych lat.

– Nad jednym z takich zdjęć długo się zastanawiałem – pokazuje mi zdjęcie z czasów budowania Nowej Huty, przedstawiające uśmiechniętą kobietę w chuście. – Bardzo podobna do mojej mamy. Tyle że moja mama nie była spawaczką. Po poszukiwaniach okazało się, że to mama mojego kolegi, Zofia Kaim-Ostrowska. Dużo jest takich zdjęć, ciągle trafiam na kolejne. Kiedyś jedno wysłałem do gazety, bo może ktoś się pozna i odezwie. Byłem na nim z chłopakami podczas obozu harcerskiego w Nowym Targu. I tak, rozpoznali się na zdjęciu i odezwali.

I kiedy tak pokazuje mi kolejne zdjęcia i inne – wbrew pozorom – ważne szpargały, w jego ręce trafia przygotowane przez niego zaproszenie na uroczystość wręczenia Orderu Uśmiechu. Spogląda na widniejącą w nim listę gości i powoli wyczytuje kolejne nazwiska.

– Tego już nie ma, ta nie żyje, ten też... – Szpinak ścisza głos.

A zaproszone były dokładnie dwieście dziewięćdziesiąt trzy osoby.

Natalia Agnieszka Grygny (ur. 1992)

dziennikarka, od 2015 roku związana z portalem LoveKrakow.pl, w którym kieruje działem kultura. Absolwentka dwóch krakowskich uczelni – Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Jana Pawła II. Góralka, pochodzi z miejscowości Ujsoły w Beskidzie Żywieckim.



Nowa Huta według kobiet

Ewa Adamska-Cieśla

Matka Joanna od Nowej Huty

1.

Dreedy w kolorze blond, uśmiech od ucha do ucha. Widoczna z daleka, wygadana, znają ją wszyscy w dzielnicy. Tutaj urodziła się i wychowała, mówi o sobie: „nowohuciara”. Mieszkała na osiedlu Szkolnym, jej mama była nauczycielką w szkole na os. Willowym.

– Nie byłam najgrzeczniejsza, uwielbiałam chodzić po drzewach i biegać po dzielnicy. Już przed pójściem do szkoły znałam tutaj mnóstwo dzieciaków – śmieje się Joanna Urbaniec, fotograf, dziennikarka, prezes Stowarzyszenia B7. – Później długo byłam hipiską, chodziłam w głanach i kolorowych spodniach, ale z chłopakami z osiedla dobrze się dogadywałam.

Dawała szansę wszystkim, bawiła się z najbiedniejszymi, gdy inni się wstydzili. Pamięta Rumunów z osiedla Willowego, jadła u nich przepyszny obiad. Zna Heńka z „bloku cudów” i Krysię, panią prawniczkę znad Stylowej. Taksówkarzom czasem mówi, jak znaleźć daną ulicę. Mężczyzna siedzący przed sklepem w samych kąpielówkach? Kobieta w piżamie i bluzie na środku ulicy? Zna wszystkie twarze Huty.

– Lubię rozmawiać z każdym: z panią z warzywniaka, sąsiadką i profesorem z uczelni. To mi się bardzo przydaje w pracy dziennikarki: ludzie sami do mnie przychodzą z tematami, ufają mi – opowiada.

Pod łobuzerskim charakterem Joanny kryje się wielkie przywiązanie do swojej dzielnicy, ogromna pracowitość i artystyczna dusza. Nowa Huta to dla niej mała ojczyzna i denerwuje się na samą myśl o zmianach wprowadzanych bez konsultacji społecznych. Złości się, gdy urzędnicy próbują wydawać rozporządzenia o wycinie drzewek, zmieniać Zalew Nowohucki czy obklejać budynki.

– Huta potrzebuje nowych ludzi, ale każda zmiana musi być dyskutowana z mieszkańcami – mówi. – Trzeba uszanować to, jak tutaj jest.

Małgorzata Szymczyk-Karnasiewicz, również lokalna aktywistka, mówi o niej:

– Matka Joanna od Nowej Huty. Do Asi zawsze można przyjść, ona zaraża swoją pozytywną energią i potrafi pociągnąć kilka inicjatyw naraz.

2.

Stowarzyszenie B7, które Joanna prowadzi razem z Anią Wołek-Jajeśnicą, Grzegorzem Jajeśnicą, Mariuszem Suwalskim, Jakubem Gajdą i Łukaszem Lendą (swoim mężem), tętni życiem. Gościło m.in. Kazika Staszewskiego, czołową basistkę Małgorzatę Tekiel, Jacka Hiro z zespołu Kat, którzy w lokalu przy Centrum B dawali koncerty, organizowali warsztaty i wieczory autorskie. We wrześniu 2019 roku otwarty zostanie bar w klubokawiarni, siedzibie stowarzyszenia. Planowana jest z tej okazji wystawa, a potem następna. Działa tu też Twórczy Ul, który prowadzi kreatywne warsztaty dla dzieci, kobiet i seniorów. Są i networkersi, którzy zajmują się zaawansowaną technologią: projektowaniem systemów inteligentnych ulic.

– Gdy zapalają się lampy nad Zalewem Nowohuckim, to właśnie oni za tym stoją – śmieje się Joanna.

Mieszkańcy mogą też skorzystać z doradztwa w zakresie przedsię-

biorczości, na przykład dowiedzieć się, komu bardziej opłaca się założyć spółkę, a komu firmę.

– Mamy trzy studia nagrań, dwie pracownie malarskie, dużą salę konferencyjną, startupownię. Odbywają się u nas spotkania CA-Sów [Centrum Aktywności Seniorów – przyp. aut.] i Babek z Nowej Huty. Mamy miejsca coworkingowe – dodaje.

3.

Gdy chciała zacząć pracę zawodową, po prostu przyszła do Teatru Łąźnia Nowa i powiedziała: jestem z Nowej Huty i chcę robić zdjęcia. Zaczęła w lokalnej gazecie „Lodołamacz” razem z mężem, artystą-malarzem i grafikiem. Pisali, ona robiła zdjęcia, on rysował. Dobrze dogadywali się z resztą zespołu. Potem urodził się Igor.

– Po trzech latach miałam dość siedzenia w domu, zadzwoniłam do działu fotoedycji „Dziennika Polskiego” i potem już robiłam fotki. Gazeta była coraz lepsza, ja też się rozwijałam, zaczęłam pisać teksty i kręcić filmy.

Pewnego dnia miała zlecenie na zdjęcia w okolicy cmentarza w Grębałowie. Fotografowała, gdy zawołała ją obca kobieta. Poszła za nią i zamarła. To właśnie tam zrobiła materiał: „XXI wiek: Ludzie w wielkim mieście”, pokazujący koszmarnie warunki życia krakowian: bez wody, gazu, prądu, z grzybem na ścianach i z małymi dziećmi na rękach. Za ten fotoreportaż dostała Nagrodę Dziennikarzy Małopolski. Praca nie poszła na marne: mieszkańcom pomógł finansowo ksiądz, opłacając hydraulikę. Dzięki temu mogli załatwić się w łazience, a nie w wychodku.

– Po publikacji do mojej redakcji zgłosiła się też jedna z fundacji i przywiozła dużo ubrań, środków chemicznych. Zawiozłam je do Grębałowa, wreszcie mogli zacząć żyć jak ludzie – mówi.



4.

Pracowitość najprawdopodobniej ma w genach. Dziadek Asi pracował w hucie, a babcia „w tytoniach”. Mieli pieniądze, mieszkanie, szybko przyszły na świat dzieci. Wiele kobiet decydowało się zajmować domem, ale były też takie, które lubiły swoją pracę w zakładach nowohuckich. Babcia Asi była właśnie jedną z nich.

– Zrobiłam też wywiad z Joanną Misztal. To pani, która śpiewała w Ryszardach, jednej z pierwszych, nowohuckich kapel muzycznych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wspominała to bardzo dobrze, jeździła z nimi na koncerty i miała poczucie, że ten zespół dużo jej daje, że nie jest tylko rozrywką. Tworzyła w ten sposób swoją przestrzeń, czuła, że budują hutę dla siebie i swojego otoczenia – wyjaśnia Asia.

Joanna opowiada o książce napisanej przez Zosię, jedną z pierwszych nowohuckich suwnicowych:

– Zaszła w ciążę w wieku szesnastu lat. Gdy już urodziła i poszła do pracy, sąsiedzi pilnowali jej dziecka. Ludzie mieli entuzjazm w sobie, ta pomoc była bezinteresowna.

Uwalnianie

1.

O charakterystycznej dla Nowej Huty więzi między mieszkańcami opowiada mi też Anna Miodyńska, geolog, badaczka kultury, animatorka społeczna, przewodniczka wycieczek tematycznych po Nowej Hucie i współzałożycielka Fundacji „Kultura i miejsce”, której celem jest odkrywanie *genius loci* miasteczek i wsi.

– Dla mojej rodziny przyjazd do Nowej Huty był awansem społecz-

nym. Tata pochodził z biednej, wielodzietnej rodziny ze wsi, mama z małego miasteczka. Nie mieliśmy łatwo, jak większość nowohucian, ale naszą siłą było tworzenie sąsiedzkich wspólnot. Wszyscy sąsiedzi w klatce schodowej byli sobie bliscy, dzieci tworzyły podwórkową rodzinę. Mieszkańcy nie byli tu anonimowi i to ich cieszyło.

Powody przyjazdu nowych mieszkańców do Nowej Huty były różne. Dzielnica miała być pierwszym idealnym miastem socjalistycznym. Dla niektórych krakowian – rodzin ziemiańskich i mieszczańskich – był to akt poniżenia, często kara ze strony władz za niesubordynację. Ale dla rodzin gorzej sytuowanych – obietnica lepszego, godnego życia. Tu dostaną pracę, wannę w mieszkaniu, sklepy w pobliżu i uśmiech sąsiadów. Podobne pochodzenie i nawyki zrobiły swoje: nowohucianie nawiązali trwałe więzi.

Ten fenomen społeczny opisała brytyjska socjolog dr Alison Stenning z Uniwersytetu Birmingham, która przyjechała do Nowej Huty i rozmawiała z mieszkańcami dzielnicy w latach 2000–2001. Stenning specjalizuje się w badaniu społeczności lokalnych i ekonomii politycznych regionów postkomunistycznych, w tym Nowej Huty. Według badaczki w osiemnastej dzielnicy silny patriotyzm lokalny oraz właśnie trwałe relacje międzyludzkie są istotną wartością dodaną.

2.

Czy sytuacja kobiet w Nowej Hucie też była godna pozazdroszczenia?

Siedzimy z Anną w księgarnio-kawiarni NOWA na osiedlu Zgody. Z okładki książki „Między propagandą a rzeczywistością. Mieszkanki Nowej Huty w latach 1956–1970” dr Agnieszki Chłosty-Sikorskiej patrzą na nas dwie eleganckie kobiety. Anna opowiada, że

jej mama też tak wyglądała: sukienka w kwadraty, tapir na głowie i czółenka, kupione mniej lub bardziej legalnie.

– Moda była wtedy jedynym obszarem wolności, łatwym i bezbolesnym do wprowadzenia. To symbol wyzwolenia się spod władzy babć, matek, teściowych – tłumaczy. – Kobiety nie walczyły między sobą, były solidarne, ale obowiązywała hierarchia wieku. Moja mama należała do pokolenia młodych kobiet wyzwolonych ze swoich tradycyjnych ról przez socjalizm. Pracowała w księgowości w Cementowni Nowa Huta i w tym samym czasie robiła maturę. Ojciec wykładał metalurgię w Akademii Górniczo-Hutniczej.

Na wsi funkcjonował tradycyjny model rodziny: kobieta zajmuje się domem i dziećmi, a mężczyzna zapewnia byt. Dom to kobiecie królestwo i władza, bez niej domownicy nie byłiby w stanie przeżyć. Kobieta gotowała, piekła, trzymała pieczę nad polem, sadem, dbała o piwniczkę. W tym otoczeniu duże znaczenie miało środowisko kobiece: babcia, mama, teściowa, ciotka, kuzynka, siostra. Tworzyły one wspólnotę doświadczeń, które potem zabierały ze sobą do Nowej Huty.

– A tam zachłystywały się wolnością, choć było im też bardzo ciężko – ciągnie Anna.

Czym była ta wolność? W Nowej Hucie obowiązywał projekt „nowej kobiety”, który zakładał aktywizację kobiet w sferze zawodowej, politycznej, społecznej. Pojawiały się wizerunki „kobiet na traktorach”, bo władze socjalistyczne rozumiały równouprawnienie jako zrównanie możliwości zawodowych kobiet i mężczyzn. Tymczasem w całym tym „nowym życiu” rodzina pozostawała na pierwszym miejscu.

– Po ośmiu godzinach pracy kobieta odbierała dzieci ze szkoły i wracała do domu, a tam pojawiał się mąż. Przychodził moment, kiedy trzeba było podać mu obiad. On zjadał, nakrywał się gazetą i nie wolno mu było przeszkadzać. To mężczyzna decydował o pie-

niądach, a na kobiecie wciąż spoczywały zadania związane z rodziną i jej zdrowiem. Władzy socjalistycznej nie zależało na prawach kobiet, ale na wyplenieniu wiary w Boga i w Kościół – mówi Anna, która jest osobą wierzącą i dumną feministką.

Tymczasem na tych ziemiach ateistyczne miasto nie miało prawa bytu, Kościół pozostawał ostoją dla wielu nowohucian.

– Mówię o tym z dużym szacunkiem, choć u mnie w domu nie wisiały święte obrazy – wyjaśnia. – Czasy młodości mojej matki to nie był jeszcze moment refleksji, tylko stopniowe wyzwalanie się spod różnych wpływów.

Zmiana kodów kulturowych i oddanie kobietom równoważnego głosu to proces wieloletni.

3.

Anna przez siedemnaście lat pracowała w Małopolskim Instytucie Kultury. Głodna rozmów z innymi i ich osobistych perspektyw, współtworzyła projekt „nowa_huta.rtf” (relacje-teksty-forma) w ramach unijnego programu „Pamięć-dziedzictwo-społeczność lokalna”. Oddała głos kilkunastu mieszkańcom Nowej Huty, tworząc unikalną wizytówkę dzielnicy, utkaną z doświadczeń mieszkańców. Znaleźli się w niej m.in.: małżeństwo naukowców, listonosz, dziennikarz radiowy, urzędniczka, licealistka, sławista czy romski muzyk. Praca pod tytułem „Księga uwolnionych tekstów” została opublikowana w Internecie. „Uwolnione”, bo nieskrępowane, szczere, pełne refleksji, krytycyzmu, ale i zachwyty spojrzenia na Nową Hutę.

Anna podkreśla jednak, że nadmierne ekscytowanie się osiemnastą dzielnicą może być niebezpieczne. By mogła się dalej rozwijać, warto obserwować jej ciemne strony:

– Zachłystnięcie się „fajnością” Nowej Huty odbiera możliwość krytycznego przyjrzenia się sytuacji i pójścia do przodu – podkreśla. – Przecież lęki, niewiedza, pijaństwo, niewykształcenie, indoktrynacja przez lata szły w parze z energią, motywacją do urzędzenia miasta po swojemu, głęboką wiarą, umiejętnością tworzenia głębokich relacji.

Miasto kobiet

1.

Kilka kobiet wytrząsa z siebie siódme poty przy basenie Wandzianka w rytmie głośnej muzyki. Twarze świecą się, ale dziewczyny są uśmiechnięte, nie przejmują się zmęczeniem, potarganymi włosami czy brudnymi rękami.

Babki z Nowej Huty to nieformalna grupa około stu kobiet. Łączy je jedno: chęć wyjścia z domu, poznania nowych osób i zrobienia czegoś dla siebie. Wiek nie gra roli: mile widziane są i nastolatki, i panie po sześćdziesiątce. Liczy się żywotność.

Twórczynią Babek jest Ola Wyszyńska-Pawlik, która urodziła się w Żorach, a do Krakowa przyjechała „za mężem”.

– Nie znałam nikogo stąd, ale nie umiem siedzieć spokojnie – śmieje się. – Pomyślałam, że zorganizuję spotkania z dziewczynami, które tu mieszkają.

Była właśnie w ciąży, miała trochę więcej czasu.

Zacząło się od zwykłych pogaduch. Teraz to już tematyczne programy: zajęcia fitness, wyjścia do teatru, nauka angielskiego oraz warsztaty manualne, na przykład szydełkowanie.

Ola: – Najwięcej Babek (po około trzydzieści, czterdzieści) mamy w sekcjach fitness oraz teatralnej.

Zajęcia fitness przy basenie Wandzianka, na świeżym powietrzu, prowadzone są w wakacje, a gdy jest zimniej – w Artzonie, czyli Centrum Kultury im. Cypriana Kamila Norwida w Nowej Hucie. W tym drugim miejscu Babki zorganizowały również wystawę siedemdziesięciu zdjęć mieszkańek Nowej Huty z okazji siedemdziesiątych urodzin dzielnicy. Ola nie kryje zaskoczenia:

– Myślałyśmy, że nie uda nam się znaleźć tylu kobiet, a okazało się, że było bardzo wiele chętnych.

Oprócz zajęć w Nowej Hucie Babki zapraszają również na FitCamps, które odbywają się nad morzem lub w górach.

Zajęcia fitness prowadzi m.in. Kasia Drobnia, a w organizacji spotkań i wyjazdów pomaga m.in. Ania Rothkegel. Każda z instruktoerek prowadzi zajęcia nieodpłatnie, a koszty wyjazdów pokrywają we własnym zakresie. Instruktorzy również płacą za siebie, bo najważniejsza jest wymiana wiedzy i umiejętności.

– Znajomi spoza Huty dziwią się: tak za darmo?! – śmieje się Ania. Pomaga im Centrum Kultury, oferując salę i sprzęt.

Skorzystałam z treningu z Kasią i poczułam ten pozytywny przepływ energii. Dziewczyny są nastawione na endorfiny.

Ania: – Przychodzimy tu z własnej woli, czerpiemy z tego ogromną radość i siłę. Większość z nas jest bardzo aktywna i nie dajemy za wygraną, nawet gdy trening jest ciężki.

Kasia dodaje: – W końcu nasze hasło przewodnie to: siła jest Babką!

Najmocniej motywuje do działania Ola, „matka założycielka” Babek, która tworzy grupę już od sześciu lat.

– Ona jest naszą lokomotywą – mówi Ania.



2.

Dużo inicjatyw rodzi się z dnia na dzień. Gdy jest dobra pogoda, która wpada na pomysł wyjazdu w góry, w zimie – na narty. Gdy już coś wymyśla, długo się nie zastanawiają. Wiele Babek oprócz swojej pracy działa lokalnie lub w jednej z organizacji pozarządowych i chętnie dzieli się swoimi umiejętnościami.

Ola: – Jedna z nas jest księgową, więc kiedyś zrobiła nam kurs rozliczania PIT-ów. Sama pracuję w biurze podróży, dlatego uczyłam Babki, co jest ważne przy kupnie wycieczki w takim miejscu.

Oprócz spotkań sportowych i kulturalnych Babki mogą liczyć na swoją pomoc.

– Dziewczyny przychodzą na zajęcia, poznają się, często coś „zaiskrzy” i zaprzyjaźniają się. To właśnie „efekt babkowy” – śmieją się. – Stale rozwijamy się, uczymy czegoś nowego i na zajęciach mamy coraz więcej Babek.

Mimo że spotkania są przeznaczone głównie dla kobiet, mężczyźni też nawiązują więzi z partnerami innych Babek.

– Wyjścia do teatru są również dla panów. Poza tym nasi partnerzy bardzo nam pomagają, zajmując się dziećmi, podczas gdy my ćwiczymy – mówi Ania.

3.

Babki powtarzają, że Nowa Huta jest dla nich jak małe, bardzo przyjazne miasto.

– Spotykam się tutaj z dużą uprzejmością. Gdy jedna z nas organizowała piknik sąsiedzki, dużo osób włączyło się w organizację wydarzenia – mówi Ania. Zauważa, że nowohucianom zależy na własnym otoczeniu.

Kasia dodaje, że działanie dla Babek sprawiło, że ciągle spotykają kogoś znajomego na ulicy. – Spaceruję przez plac Centralny i prawie zawsze spotkam jakąś Babkę, a często okazuje się, że jest ona moją bliską sąsiadką.

Ola: – Nowa Huta w statystykach wypada bardzo dobrze, nie jest tu niebezpiecznie, ale mity dalej są żywe.

Kasia: – Brakuje mi kultowych miejsc, które upadły, bo ludzi nie było stać na opłacanie czynszu. Na przykład księgarni Skarbnica, sklepu mleczarskiego koło baru mlecznego na placu Centralnym czy koktajl baru, który istniał obok Apteki Ziko. Uchowal się chyba tylko sklep papierniczy rodem z PRL przy placu Centralnym. Aż dziwne, że jeszcze istnieje.

Dodają jednak, że to normalne, że miasto się zmienia.

Babki z Nowej Huty to eksperyment społeczny, który się powiódł. Niesterowany z zewnątrz, urządzony przez kobiety i dla kobiet.

– Gdybym miała wyprowadzić się z Nowej Huty, najbardziej brakowałoby mi Babek – mówi Ania.

Ewa Adamska-Cieśla

dziennikarka, copywriterka i autorka bloga społeczno-feministycznego Rety Kobiety. Aktywistka w krakowskiej Fundacji Autonomia. Harmonię umysłu, duszy i ciała znajduje w czytaniu, jedzeniu, medytacji i sporcie. Inspiracje czerpie od wyjątkowych osób spotkanych na swojej drodze. Wierzy w moc siostrzeństwa.



Pani Teresa

Tomasz Mróz

I

Kiedy się wprowadziliśmy, pani Teresa miała już około osiemdziesiątki. Jej krótkie zupełnie siwe włosy mocno już zrzedły i przeziarała spod nich blada skóra głowy. Była niewysoka. Ze względu na chore nogi i pokaźną tuszę poruszała się z trudem: zejście z pierwszego piętra zajmowało jej jakieś dziesięć minut. Ubrana była nieodmiennie w granatowy chałat z ortalionu, w jakim nierzadko chodzą staruszki w tej dzielnicy.

Przez pierwsze miesiące spotykałem ją z zadziwiającą regularnością. Parę minut po siódmej wychodziłem do pracy, ona wyprowadzała psa. Pimpek był stary jak ona i jak ona niedołężny. Dwie, trzy minuty rozmowy. Zazwyczaj kilka grzecznościowych zdań, cięte repliki wcale nie zgorzkniałej staruszki. Choć parę razy zagadaliśmy się tak, że spóźniłem się na autobus. W soboty czasem patrzyłem z balkonu: okrążała skwer przed blokiem, siadała na ławce, wracała do mieszkania mniej więcej po godzinie. Gdy Pimpek napinał się na trawniku, zawsze wyciągała z kieszeni fartucha pomietą reklamówkę i zbierała, co trzeba. Drugi spacer po południu, drobne zakupy w kiosku. Była doskonale świadoma swojej niedołężności, ale nie poświęcała jej wiele uwagi.

– Niech pan idzie, mnie zajmie to jeszcze chwilę – mówiła, kiedy wyprzedzałem ją na schodach.

II

Wtedy zapukała do nas po raz pierwszy:

– Nie macie może państwo czwartkowej „Wyborczej”? – spytała.

Mieliśmy.

Choć mieszkaliśmy drzwiami w drzwiach już prawie rok, nigdy wcześniej nie byliśmy u niej ani ona u nas. Tego jesiennego popołudnia wyglądała na zdenerwowaną. Chciała przeczytać reportaż o tym, jak umierają w Nowej Hucie najstarsi – ci, którzy ją budowali, a teraz dożywają w niej swoich dni. Znajoma zadzwoniła do niej, mówiąc, że w gazecie pojawił się artykuł o tym samotnym umieraniu.

Wróciła po godzinie, zapłakana. Oddała gazetę, usiedliśmy w naszej kuchni.

– To wszystko prawda, proszę państwa, wszystko prawda. Moją znajomą na Centrum B wyciągali strażacy. Przez tydzień nikt nie wiedział, co się z nią dzieje. Druga znajoma na Zielonym leżała ponad dwa tygodnie, zanim ją znaleźli.

Nie miała chusteczki, łzy wysychały jej bezpośrednio na policzkach. Czytaliśmy wcześniej ten tekst, ale dopiero teraz zrozumieliśmy, że tak naprawdę napisany był przede wszystkim dla nich, dla odchodzącego pokolenia.

Z kieszeni fartucha pani Teresa wyciągnęła stare zdjęcia.

– Niech pan popatrzy, jaką byłam laską!

Z czarno-białego zdjęcia patrzyła uśmiechnięta dwudziestokilkulatka, trochę korpulentna, o dość szerokiej twarzy. Na innym stała z wózkiem na chodniku przy alei Solidarności, wtedy alei Lenina. Huta na zdjęciu w niczym nie przypominała oazy zieleni, za którą uchodzi dzisiaj. W kadrze nie było ani jednego drzewa. Pierzeja

nieotynkowanych jeszcze bloków wzdłuż szerokiej ulicy, pośrodku naga linia tramwajowa – krajobraz niemal księżycowy. Miasto na gołej ziemi, bez podglebia. I mieszkańcy – dopiero zaczynający wrastać w miejsce, jeszcze ślizgający się po powierzchni.

Przyjechała do Nowej Huty na początku lat pięćdziesiątych z nad morza. Tu poznała męża, tu urodziła dwóch synów. Była laborantką w kombinacie. O pracy mówiła jednak niewiele, choć pamięć miała znakomitą. Opowiadała za to, jak jeździła do Krakowa na spacer, jak w młodości chodziła do knajp i sklepów na Floriańskiej. Bywała w krakowskich kinach – w Związkowcu, w którym teraz działa Teatr Variete, w Młodej Gwardii na Lubicz, tam, gdzie dziś świeci neon dancingu Ermitaż.

Nie umiała słuchać. Nie interesowało jej, kim jesteśmy, skąd przyjechaliśmy, co robimy. Chciała opowiadać – potrafiła robić to godzinami. Nie kryła szczegółów: „Mąż zdradzał mnie na prawo i lewo, tak że bałam się, żeby nie zaraził mnie jakimś syfem” – opowiedziała w naszą pierwszą rocznicę ślubu. W końcu ją zostawił. Została sama z dwoma synami, o których też mogła opowiadać bez końca.

– Zbyszek zapuścił długie włosy. Gdy miał siedemnaście, osiemnaście lat, słuchał głośno takiej nowoczesnej muzyki. Strasznie mnie za to sąsiedzi opieprzali.

Staszek z kolei dobrze się uczył, zawsze na koniec roku przynosił nagrody. Dziś obaj są w Niemczech. I wnuki w Niemczech, czasem dzwonią.

– Ale wie pani, mają swoje sprawy – dodała ciszej, bo chyba jednak te wnuki nie dzwoniły za często.

Prosiła, żeby przynosić jej katalogi Empiku i wydawnictw. Lubiła je przeglądać. Mnóstwo czytała. W niewielkim mieszkaniu – dwa małe pokoje ze ślepą kuchnią – książki i gazety były na każdym kroku. Regularnie dzwoniła do biblioteki i zamawiała nowości.



W księgarni również. Na stoliku leżały głośnie, nagradzane tytuły.

– Oczywiście, że pożyczę. Ale przyniesie mi pani jakiś katalog?

Nowohuckie bloki mają grube ściany i cienkie sufity. Nigdy nie słyszeliśmy, co robi w mieszkaniu. Nie docierały do nas odgłosy radia czy telewizora. Ale nie ukrywała swoich poglądów. Sąsiadka z naprzeciwka, która szczyliła się postępowymi poglądami, mówiąc o pani Teresie, kiwała z pożałowaniem głową i cedziła tylko przez zęby: „ta stara pisówa”.

Głos miała donośny – jej rozmowy na klatce schodowej z łatwością przenikały przez stare drewniane drzwi. Znała wszystkich i nieraz wieczorem doprowadzała do porządku młodych chłopaków z trzeciego piętra, których tłumnie odwiedzali koledzy. Pewnego wieczora, gdy zza okna dochodziły odgłosy libacji nowohuckiej złotej młodzieży, wyszła na balkon i krzyknęła na całe gardło:

– Zamknijcie się, do kurwy nędzy!

Posłuchali. Poszli gdzieś indziej.

III

Najpierw umarł Pimpek. Płakała. Niedługo potem przestała wychodzić na spacer.

Pewnego wieczora usłyszeliśmy ruch na klatce schodowej. Z balkonu widzieliśmy, jak ratownicy wynoszą ją na noszach.

Odkąd się wprowadziliśmy, opiekowała się nią jakaś pani z Ogrodowego, pomagała w zakupach, sprzątaniu. Kilka dni po tym, jak pani Teresa trafiła do szpitala, spotkaliśmy ją na klatce. Gdy zapytaliśmy, co się stało, odpowiedziała:

– Udaje, stara, wiadomo – i zrobiła gest przy skroni wskazujący, że stara trochę ześwirowała.

Kiedy przyszliśmy do szpitala, ledwo nas poznała. Wcisnęła nam telefon, prosząc, żeby zadzwonić do syna. Ciągłe dyktowała numery. Mieszały jej się wątki, przypominały wydarzenia sprzed lat. Wspominała ludzi, których imiona nic nam nie mówiły. A w słuchawce telefonu brzmiał komunikat, że rozmowy wychodzące są zablokowane. Nikt nie doładował jej konta.

Mówiła nam, że wczoraj przyjechał do niej Zbyszek. A Staszek był tydzień temu.

– Niech jej pani nie słucha, nikogo nie było – powiedziała sąsiadka z łóżka obok. Jej ironiczny ton i obojętna twarz sugerowały, że widziała już takie przypadki i chyba nie kończyły się dobrze.

Sąsiadka z łóżka obok nie myliła się. Pani Teresa po kilku tygodniach umarła. Zaraz przed Bożym Narodzeniem. Nikt z sąsiadów z piętra nie był na pogrzebie. Sąsiadki – na oko jej rówieśniczki – mówiły, że było zimno i bały się przemarznąć. My wyjechaliśmy na święta.

Po kilku tygodniach za ścianą zrobił się ruch. Ekipa remontowa przyjechała wyczyścić mieszkanie. Niedługo później w śmietniku zobaczyłem oparte o ścianę dokumenty i wydrukowane na marnym papierze wizerunki świętych oprawione w złote ramki. W kontenerze kłębiła się masa starych ubrań. We wtorek rano, jak co tydzień, przyjechała śmieciarka i wszystko zniknęło.

Po kilku miesiącach zaczął się remont. Teraz w mieszkaniu za ścianą mieszka matka z dorosłą córką i dwoma kotami. Sprzedały stary dom w podkrakowskiej wsi i przeprowadziły się do Nowej Huty.

Tomasz Mróz

doktor kulturoznawstwa zajmujący się kulturą rosyjską drugiej połowy XIX wieku.
Od sześciu lat mieszka na jednym ze starych osiedli Nowej Huty.



Spis treści

- 2** Mapa Nowej Huty
- 4** Tytułem wstępu
- 6** Od jurorów: prawdy o Nowej Hucie

Reportaże:

- 11** Grzywka w słoiku
- 31** Bzykana z sokiem
- 43** Pod osiedlową chmurką
- 63** Więcej niż klub. Więcej niż zawodnik
- 77** Prababka
- 91** To ja pójde jeszcze na chwilę, dobrze?
- 101** Obwodnica
- 109** Szpinak, chałupa i garść folkloru
- 129** Nowa Huta według kobiet
- 147** Pani Teresa



Realizacja projektu:
Krakowskie Biuro Festiwalowe

Dyrektor:
Izabela Helbin

Koordynacja projektu:
Oliwia Fryc, Malina Szczepańska

W publikacji wykorzystano zdjęcia udostępnione przez Muzeum Krakowa. Autorzy fotografii:
Stanisław Gawliński: s. 154-155;
Henryk Hermanowicz: s. 14-15, 28-29, 34-35, 40-41, 60-61, 88-89, 94-95, 114-115, 120-121, 132-133, 140-141, 144-145, 150-151;
Janusz Podlecki: s. 9, 20-21, 68-69, 74-75, 82-83, 104-105, 126-127, 158-159.

Redakcja:
Daniel Lis

Korekta:
Dorota Bednarska, Izabela Osiadły, Grzegorz Słącz

Opracowanie graficzne i skład:
Polkadot Studio Graficzne / Hanna Niemierowicz, Aleksandra Woźniak

Współpraca graficzna:
Marzena Kokotek

Wydawca:
Krakowskie Biuro Festiwalowe,
ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków
tel. 12 354 25 00, www.biurofestiwalowe.pl

Copyright © for texts by Authors, 2019
Copyright © for this edition by Krakowskie Biuro Festiwalowe, 2019

Druk:
Drukarnia UNIDRUK, FotoUNIDRUK Małgorzata Kruczek
30-121 Kraków, ul. Bronowicka 117
Nakład: 1000 egzemplarzy
ISBN: 978-83-65270-40-5

www.pisz.miastoliteratury.pl / pisz@miastoliteratury.pl
www.miastoliteratury.pl

ORGANIZATOR



Operator Programu
Krakow Miasto
Literatury UNESCO



PATRONAT MEDIALNY

